

# PRZEZNACZENIE

LEOPOLD KONOPACKI

• •

# PRZEZNACZENIE

*Segui il tuo corso e lascia  
dir le genti.*

*Dante.*

•••

L W Ó W

NAKŁADEM AUTORA.

Z DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO WE LWOWIE  
pod zarządem Józefa Ziemińskiego.

1908.



K-22/74

41197

*Nad przeznaczenie dane od natury,  
Ni mniej ni więcej śmiertelnik nie będzie,  
Czy na dole, czy na szczycie góry,  
Czem jest, zostanie i zawsze i wszędzie;  
Czy w studni czerpał, czyli w oceanie,  
To tylko niesie, co zmieścił we dzbanie.*

*Brodziński.*

Państwo Witołdowie, właściciele folwarku „Oścież“, żyli z sobą długie lata w najczystszej miłości i nigdy niezamąconej zgodzie.

On, dzielny ziemianin, gospodarzył w polu i w lesie, na gumnie i w śpichrzach, w stajni i wozowni; czuwał z zamięłowaniem nad bogatą pasieką i nad rozległym, najpiękniejszymi tworamami bożymi przepełnionym stawem. Każdą wolniejszą chwilę poświęcał im. Dopilnowywał starego Szymona — pasiecznika, dopilnowywał i Grzegorza — stawniczego. „Pańskie oko konia tuczy“ zwykł był powtarzać. Wszędzie było go pełno. Niedoświadczoną służbę dokładnie pouczał i bez hałasu a łagodnie do pracy przynaglał. Toż szanowano i kochano go...

Pani Witołdowa, ze swej strony, uwijała się gospodarząc w domu i ogrodzie; a czuwanie nad krowiarnią było jej najmilszym zatrudnieniem.

Oboje gospodarzyli połączonymi siłami i przysparzali dobrobytu swemu jedynakowi — Kazimierzowi...

W sercu, w duszy i umyśle zaszczepiali mu od kolebki najszlachetniejsze przymioty.

Kazimierz po ukończonych studiach — wrócił do rodziców; ćwiczy się w gospodarce i w zarządzie całym majątkiem — z woli sędziwego, schorzałego ojca.

Matka zaś, pani Barbara, doradza synowi ukochanemu, by wybrał sobie towarzyszkę życia. Przy wyborze, mawiała, nie zważaj na stosunki majątkowe panny, ani na jej zewnętrzne powaby, a raczej na dobre wychowanie: na zalety duszy jej i serca.

— My starzy, tłumaczyła mu, niebawem opuścimy ten padoł płaczu; a gorącym życzeniem mem jest: tobie, mój drogi, przy budowie własnego ogniska — pobłogosławić.

— Ależ, matuchno serdeczna, dla mnie jeszcze czas, odpierał Kazimierz. Wolności mej tak prędko tracić nie chciałbym. W końcu gdzie tu znaleźć pannę, któraby odpowiadała kapryśnemu sercu memu i wymaganiom twoim. Całą okolicę zajęli inorodni i innowiercy, a wśród tych przecie żony szukać

nie będę. Musiałbym dalsze przetrząsać strony i w tym celu częściej wyjeżdżać, i dłużej poza domem przebywać; a tu zarząd naszego mienia bez kierownika zostawiać. — Ojciec — sam jużby zadaniu nie podołał. Zostawiam przyszłość moją — zrządzeniu Opatrzności; a może przypadek będzie mi w tym względzie pomocny.

— Przypadek, przypadek! przeczyła matka, Jak można, mówiła, w tak ważnej sprawie, która o dalszem życiu twem rozstrzyga, na ślepy spuszczać się przypadek. Małoż mamy takich przypadków, co nieopatrznych unieszczęśliwiły... Bądźże, synu mój, cudzymi przypadkami mądry i nie czekaj na zrządzenie zwodniczego przypadku, a sam szukaj uczciwej towarzyszki życia...

Gdy Kazimierz przy swem zdaniu upierał się, matka sprawę przed forum ojca wytoczyła: oskarżając syna, że jej dobrych rad nie słucha.

— Co się z chłopcem stanie, mówiła, gdy my, starzy, odejdziemy! Zostanie sam bez przyjaciela — bez rodziny — a otoczony samymi obcymi a nam wrogimi żywiołami...

Rozpatrz się w okolicy: kto tu pan ziemi naszej — ziemi polskiej!... Osierocony zdesperuje, zadomowi się i stetryczeje. Przecież powinien już i o następcy myśleć...

Ojciec dobrodusznie uśmiechnął się; a gdy żona nań napierała, by sam Kaziowi wolę swą objawił, wesoło odparł:

— Babulko moja ukochana! Zostawmy mu jego wolę. Przypisywać mu, jak ma w tym względzie postępować — wcale nie mam ochoty. Pod naciskiem naszym, mógłby nieodpowiedni — zły wybór zrobić; siebie unieszczęśliwiłby; a nas gnębiłby wyrzut, żeśmy mu taki los zgotowali.

— Kazio ma dopiero lat 25, jest rozumny chłopak, a co ważniejsza — tak poczciwy, jakich w obecnej chwili, niestety, bardzo — bardzo mało. Dajmy mu spokój — przyjdzie czas i na niego: natura ogłosi mu swe prawa i życzeniu twemu stanie się za-dosć...

— Nim natura przemówi, odezwała się pani Barbara, on postarzeje się i w sierocej samotności żywot swój nędzny zakończy. Niech się żeni póki młode lata...

Mąż przerywając jej, ujął jej ręce, i czule patrząc w jej, wiekiem a fizycznymi cierpieniami, zamglone oczy — uśmiechając się, zapytał:

— Basiu! a wiele ja miałem lat, gdyś mi kochanie, drogę zastąpiła. Gdy Kazia jeszcze na świecie nie było, czyś mnie nie nazywała: „mój stareńki!“ Byłoby nieszczęściem, gdyby i jego przyszła tak samo go nazywała?...

Pani Basia, temi wspomnieniami roz-rzewniona, całując męża w głowę, odparła:

— Mój stareńki! inne były czasy: inaczej się żyło na świecie. — Dziś ludzie prędzej żyją i prędzej świat opuszczają. Dlatego pragnęłabym widzieć Kazia u stóp naszych proszącego o błogosławieństwo w drogę do nowego życia...

— No, no! dobrze, dobrze Babulu! Ja z nim rozmówię się; ale zostawmy mu jeszcze jeden rok wolności, niech skończy 26. rok... Zgoda?

— Zgoda!

Z wiosną, gdy roboty w polu ukończono, wybrał się Kazimierz do Górowa, w sprawach pieniężnych.

Przyjechawszy do stolicy, pierwsze kroki swe skierował do Jana Liwskiego, towarzysza i przyjaciela z lat młodzieńczych — dziś komisarza powiatowego. Znalazł go w biurze przy pracy.

Przyjaciele uściskawszy się -- patrzali sobie w oczy i szukali zmian zaszłych od czasu rozłąki.

Jan wyglądał mizernie: spracowany, a i powietrze wielkiego miasta niekorzystnie na zdrowie jego wpływa; niemało przyczynił się do tego karnawał. Jan zapamiętałe hulał.

Gdy Kazimierz podniósł, że on za wiele pracuje, że powinien miarkować się...

— Co chcesz, odparł, prosiłem o sześciotygodniowy urlop dla poratowania zdrowia, — odmówiono mi go. Powiem ci z jakiej przyczyny. „Panie Janie! pouczał mnie mój przełożony, podwładnych mych dzielę na trzy kategorie. Jedni mogliby pracować — a niechcą; drudzy chcieliby pracować —

a nieumieją, wreszcie inni są ci, którzy za pierwszych i za drugich pracować muszą. Do tych ostatnich zaliczam pana. — Właśnie podałem cię do awansu — urlop w takiej chwili w dodatku — dla poratowania zdrowia — mógłby ci zaszkodzić, dla tego nie otrzymasz urlopu“.

— Niepozostawało mi nic innego, jak podziękować szefowi za jego dla mnie życzliwość. Urlopu nie dostałem, natomiast zostałem komisarzem.

— Chodźmy, przedstawię cię mojej pani...

— Ożeniłeś się?

— Tak! w ostatki karnawału.

— Winszuję ci, czujesz się szczęśliwym?

— Opływam — jak pączek w maśle. —

Ależ bo to kobieta, jakich dziś, niestety, już nie wiele wśród nas! Toteż z biura spieszę wprost do siebie — do niej. Z jej duszy płynie uspokojenie nieraz bardzo wzburzonych nerwów, w jej oczach wyczytuję dzieje jej serca i dzieje dalszego życia naszego. U jej boku — życie moje!

— Winszuję ci takiego nabytku.

— A ty kawalerujesz jeszcze?

— Nie mam czego śpieszyć się. Parę lat jeszcze używać będę swobody.

— Byle ta swoboda nie zgasiła w tobie uczucia młodego serca, młodej duszy; byle ciebie przedwcześnie nie zrobiła nieczułym na cuda i powaby natury — obojętnym na życie u boku towarzyski, na czystą miłość w pełni zasługującej...

— Bez obawy! gdy moja godzina wydzwoni, gdy wpadnę w sidła, a właściwie gdy boginka jaka nadstawi na mnie złotą pułapkę: wpadnę w nią chętnie — bez namysłu. Niewiele żądam od panny, którą mógłbym pokochać: nieco zalet zewnętrznych, natomiast dużo serca i w pełnym słowa znaczeniu „czystego sumienia“. — Jej zaś ofiaruję serce i duszę prawego Polaka — człowieka, szanującego swe prawa — wykonującego najlojalniej swe obowiązki. —

— Oby ci los przyjazny poszczęścił! Pamiętaj miły bracie, że do budowy szczęścia — my sami serce, ręce i głowę przykładać mamy.

— Kto stan małżeński chce mieć schroniskiem przed burzami życia — przed nie-

dołą: ma tak przy wyborze towarzyski, jako też czasu trwania małżeństwa, wszelkie możliwe a najszlachetniejsze przymioty sam z siebie wydobywać i sam losem swym kierować.

— Życie ludzkie jest piękne: jeżeli żyć umiemy. — Nie wszyscy umieją żyć... i są biedni — bardzo biedni: sami sobie zadają męki, a mogliby być szczęśliwymi. Niestety! nie umieją żyć w zgodzie z wolą Boga! —

Słusznie powiada Mickiewicz:

*„Cierpi człowiek? bo sam służy sobie za kata:  
„Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata!“*

— O ile sobie przypominam, jesteś trochę nieśmiały, lękliwy. Gdy przyjdzie czas zdobywania szczęśliwej przyszłości pewny jestem, że konieczną energię — odnajdziesz w sobie i obudzisz ją...

— Słusznie mnie osądziłeś, odparł Kazimierz. Istotnie przed stanem małżeńskim mam boja — niemałego.

— Smutny los niektórych moich znajomych kieruje zdaniem mem. Wprawdzie oni los swój sami sobie zgotowali — żyją... mordernie!

— Jestem zdania, przerwał mu Jan, że mąż jest kowalem doli swej.

— Inaczej pojmuję obowiązki i prawa małżeńskie. Mąż, po skończonej zawodowej pracy, niech nie goni na śniadanko do sklepiku, gdzie często, gęsto godzinami przesiaduje, nie myśląc nawet o stęsknionej żonie, która go wzdychając i ze łzą w oku z obiadem oczekuje, a równocześnie pragnie uściskać go z przepełnionego miłością serca. — Męża niema: serce zwolna ostyga i przyjmuje — najczęściej, pod dobrą datą wracającego mężulka — dziś mniej gorąco — jutro obojętnie — a pojutrze... pomyśl na następstwa takiego stanu rzeczy...

— Mąż zwykle, odparł Kazimierz, od żony starszy i więcej doświadczony, powinien żonę swą prowadzić, jej krokami miłośnie kierować, nie opuszczać jej, nie oddawać samotności; a przeciwnie każdą wolną chwilę z nią podzielać. Przemocą, szczerą miłością owianą — zdobędzie spokój i szczęście domowe i gniazdo ich szczęśliwe, póki wola Boża. — Gdy inaczej działa: ognisko swe

sam gasi, a szczęściu swemu i swej rodziny sam grób kopie!...

— Mój drogi! Przemocą chce zdobyć — szczęście — złudne marzenie. *„Czekajmy cicho na szczęście, poucza K. Tetmajer, ... ono jest dla serc, czem słońce dla kwiatów, które tylko jeden dzień kwitną... jeśli ma przyjść, przyjdzie.*

— Bez naszej pomocy... niewierzę — niewierzę!

— Chodźmy do Sabci...

15. sierpnia.

Najdrożsi, najserdeczniejsi Rodzice!

„Pospieszam zawiadomić Was, moi kochani, że tu dłużej, jak zamyślałem, zabawię. A powód *„cherchez la femme“*... O tak! nieszukałem jej — a znalazłem ją. Przypadek, ślepy przypadek, sprowadził mi ją. Może stare nasze przysłowie: „Śmierć a żona — od Boga przeznaczona“ — sprawdzi się na mnie“...

„Przybywszy do stolicy odwiedziłem mego towarzysza i przyjaciela z czasów



szczęśliwszej młodości. Z czasów tej młodości, co szybko przemija — z czasów tej młodości, która nam przypomina, że mamy być gotowi każdej chwili złożyć ją na ołtarzu świętej Ojczyzny!“...

„Pocziwy Janek, zaprosił mnie do siebie celem przedstawienia mnie swej, jak się wyraził ukochanej, serdecznej, gosposi, pani Sabinie“.

„Pani Sabina bardzo miła, sympatyczna kobiecina a w swym Janku — zaślepiona“.

„Zaprosiła mnie na obiad; odmówić nie wypadało: zostałem“.

„Podczas obiadu i w ciągu rozmowy o dawniejszych spokojniejszych — lepszych czasach, oznajmiła pokojówka, że goście przyjechali, jacyś nieznajomi państwo“.

„Janek pospieszył powitać przybyłych. A że goście bardzo pożądanymi byli, poznałem po głosie Janka — radośnie witającego ich. Pani Sabina, poznawszy po wykrzyknikach wesołych przyjezdnych — przeprosiwszy mnie, podbiegła do drzwi, które w tej chwili otworzyły się, a w progu ukazał się uradowany Janek, prowadząc pod ramię pana Walskiego z córką, panną Reginą“.

„Radości, a jak się zdawało, nieudanej a szczerzej — było dużo — dużo. Pani Sabina kilkakrotnie ucałowała swą družkę — pannę Reginę“.

„Przyszła kolej i na mnie: przedstawiono mnie jako hreczkosieja — po interesach w stolicy goszczącego“.

Panna Regina zaimponowała mi — od pierwszego spojrzenia podobała mi się. Słuszna, wiotka, włosy złotawe, bujne, długimi lokami okalają główkę małą, powabnie zgrabną. Czoło otwarte, przecięte wielomówiącą, w chwili podniecenia uwyrażniającą się niebieskawą żyłką; brwi ciemne, śmiałym łukiem nad przepięknym, czarnym jak węgiel okiem, łączą się z sobą nad regularnym noskiem o trochę rozdętych, energię wskazujących nozderkach, usta małe korallowe, ponętnie wykrojone — trochę rozchylone, zdradzają pragnienie serca. Ubiór bardzo skromny. A kształty — a całość zajmująca — drażniąca“...

„Stosując się do życzeń mej kochanej matuchny, zabiegam koło niej: choć te zabiegi kierowane mym safanowskim tempe-

Przeznaczenie.



ramentem, nie mogą być natarczywe... Co z tego będzie? Obaczmy, czas prawdę wyświeci. Jedno mnie ubodło — zapały me ostudziło... Panna Regina fotografowała się; prosiłem ją o jeden egzemplarz — zamierzałem go Wam, moi najdrożsi, przesłać. Odmówiła mi — przepraszając. Wszystkie egzemplarze, tłumaczyła się, są zamówione i mam je rozesłać. Niebawem, dodała, będę po raz drugi fotografować się, a wówczas pierwszy egzemplarz panu ofiaruję.

„Czas naszej znajomości istotnie za krótki, by zbadać wewnętrzne zalety osoby, którą się ceni i z którą dalsze życie nasze dzielić chcielibyśmy“.

„Rzecz prosta, że starania moje około pozyskania sympatii panny Reginy nie uszły uwagi państwa Liwskich. Pani Sabina niedwuznacznie dała mi do poznania, że mógłbym śmiało oświadczyć się o rękę panny Reginy. A kochany Janek otwarcie o tej sprawie ze mną mówił: namawiał mnie do zawarcia przyjaźniejszych stosunków z ojcem panny Reginy. Byłaby to, tłumaczył mi, wcale nie zła partya... Na to odpowie-

działem mu, że ja szukam partyi dobrej, a nie tylko nie złej. Oraz prosiłem go, by mnie dokładnie objaśnił co do wewnętrznych przymiotów panny Reginy. — „Pannę Reginę, odparł mi — znam od dzieciństwa — podlotka zgubiłem był z oczu, dopiero jako mą družkę powitałem po dłuższem niewiedzeniu. O zaletach serca i duszy dojrzałej panny na seryo wyrokować nie mogę. Badaj ją sam. Sądzę, że jej serce wolne i czyste“...

„Jak dalej — obaczmy!“

„W tej chwili przyniosły telegramy potworne wieści z Berlina. Wieści te boleśnie zaniepokoiły wielką część tutejszych mieszkańców. Niestety! Mamy tu niemało spłodzonych, znikczemniałych. Tych zaprzańców cieszy każda nasza krzywda. — A gdybym zapytał takiego uciekiniera z obozu narodowego — dlaczego tak nas nienawidzi — spuściwszy oczy musiałyby mi odpowiedzieć: „Jesteście lepsi, szlachetniejsi od nas!“...

„Mniejsza, że policya pruska nakłada kary za urządzenie procesyi... Ale, czy człowiek — nie mówię — uczciwy — a tylko mający odrobinę wiary w przykazanie Boże:

„kochaj bliźniego, jak siebie samego!“ mógłby uwierzyć, że w XX. w. wydano z granic państwa, którego godło: „Bojaźń Boga i dobre obyczaje“, „czteroletniego“ dzieciaka, Władzia Stabrowskiego, bawiącego u swej rodziny w Chociczy pod Ślachcinem!... Ojczyzna niemiecka uratowana! Teraz mogą Niemcy, uszczęśliwieni głośno śpiewać: „*Heil Der im Siegerkranz!*“

„Ustawa — o wyłączeniu Polaków — tych najniebezpieczniejszych, Niemczyźnie zagładą grożących nieprzyjaciół — została ciału prawodawczemu przedłożona. Jest nadzieja, że sejm ją odrzuci“.

„Na wstępie prezydent ministrów ogłosił *urbi et orbi*, że rząd jest zdecydowany prowadzić w Prusiech zachodnich i w Poznaniu dalej politykę Bismarka. A panowie Niemcy oklaskiwali rabusiowską mowę szanownego następcy — żelaznego kanclerza“.

„Niemcy w przyśpieszonym tempie nawracają do czasów osławionych „Raubritterów!“

„Niech im starczą ziemie polskie na kurhany“...

„Dodajmy do tych gwałtów — zakaz nauczania dzieci religii i modlenia się w szkole po polsku — dodajmy prawo o zgromadzeniach, na których tylko po niemiecku przemawiać będzie wolno: i zapytajmy Niemców, dlaczego oni nam język wyrwyją, gdy sami „*Mutterlaut, wie so wonnesam, so traut!*“ śpiewają.

„Ale nie rozpaczajmy! precz ze zwątpieniem! Posłuchajmy, co Walerya Szalaj głosi:

*A kiedyś, kiedyś, znów nad naszą głową,  
Zaświta złota jutrzienka wolności!..  
I Polska z grobu powstanie na nowo  
W dawnej potędze, chwale i świetności!..*

A stanie się, gdy ranom Polsce zadany i po dziś dzień przez niegodziwych najeźdców zadawanym nietylko oczyma, ale i sercem i duszą przypatrywać się będziemy i gdy jękom jej, od wszystkich granic do nas płynącym — nawet z wnętrza ziemi wydobywającym się miłośnie przysłu-

chiwać się będziemy; gdy nauczymy się skargi jej rozpoznawać i odczuwać — w szumie wód, w rozhovorach borów i w smętnych szmerach kołysanek złotych łąnów; gdy wchłaniać w siebie będziemy całą niedolę Ojczyzny, 100 lat przeszło krwią i łzami ociekanej; ale nie z rozpaczą, a suchem okiem — ciemnym ogniem uprawnionej zemsty pałającym i z pięścią zaciśniętą do czynu gotować się będziemy — do czynu, który gromy na harde głowy wrogów naszych postrąca i niewoli narodu koniec położy!...

„Kończę list przedługi — całując stokrotnie błogosławne ręce Wasze, co wykłasyły, wykarmiły i wychowały, pełnym sercem kochającego Was — najdrożsi Rodzice

Kazimierza.

W odpowiedzi na ten list przypomniał synowi ojciec, by zbadał także i majątkowe stosunki panny Reginy. Czem większe zasoby materialne — pisał — tem łatwiej

w naszych, tak szkaradnych czasach, w niewoli płużyć.

Co do zbrodniczych zamiarów wrogów naszych, pisał: „Bóg wszechpotężny, którego wyroki niezbadane, a zawsze tylko dobro ludzkości mające na celu, chciałby ducha narodu naszego w ogniu boleśnych doświadczeń z karygodnych win oczyścić i zahartować; byśmy się stali godnymi największej łaski Jego; powołania nas do wzmocnienia mocno zachwianej wiary w Zbawiciela. Miłość Boga, miłość Ojczyzny, miłość bliźniego: — potęgi, jakie cały naród w jedną złączy rodzinę i wytworzy ducha narodu. A duch narodu — niezłomny: — przed taką potęgą — najzjadliwszy wróg ugnie się! — Nie traćmy nadziei! W duchu zjednoczonego narodu moc, która gromem uderzy i czoła bojowników wawrzynem ozdobi!...“

A matka prosiła syna, by nie marudził, by się Reginie oświadczył i dzień ślubu przyśpieszył. — „Ja, pisała mu, coraz gorzej się mam; chwila rozłąki, mój drogi Kaziu, szybkim krokiem zbliża się; a tak

gorąco pragnę przed śmiercią wam, dziatki me — pobłogosławić“.

Kazimierz prosił pana Walskiego o rękę panny Reginy, Walski wysłuchawszy nieśmiało wygłoszonej prośby, oświadczył Kazimierzowi, że on nie miałby nic przeciwko temu — ale Regina sama ma swą wolę oświadczyć — i do niej aspiranta odesłał.

W tym dniu panna Regina nie pokazała się w salonie rzekomo z powodu silnej migreny. Nazajutrz ale była już zdrowa i swobodna. A gdy Kazimierz zbliżył się: spojrzęła nań z wyrazem pewnego zadowolenia. Naturalnie, że o jego oświadczeniach ojciec ją poinformował.

Kazimierz, zadowolenie, co się w jej twarzy odbijało, wytłumaczył na swoją korzyść; a stąd nabrawszy otuchy, w krótkich a gorących słowach — oświadczył się jej.

Regina zarumieniła się. Podając mu rękę upewniała go o swym wysokim szacunku dlań. — Z pewnem wahaniem się jednak

dodała, że w tej chwili zdecydować się nie może.

— Znajomość nasza jest tak niedawna, że o przymiotach naszych moralnych niemogliśmy się upewnić — dlatego proszę o zwłokę. Proszę pobyt tu swój trochę przedłużyć: a może pragnienia pańskie będą mogła zaspokoić.

Kazimierz odczuł mocno odprawę — przekonał się, że serce Reginy dlań wcale nie uderza, że o miłości i mowy niema. Poddał się jednak życzeniu Reginy — z udanym zadowoleniem oświadczywszy jej, że choć roboty w polu jego bytności w domu wymagają, on pobyt swój w stolicy przedłuży, niechce bowiem zasłużyć na zarzut, że szczęście swe własnowolnie odtrącił.

Kilka dni później zjawił się u państwa Liwskich baronet, Kalikst Opacki — przy stojny i jak fama niosła, bardzo bogaty młodzieniec. Przywiózł od ojca list do Jana, jako dawnego znajomego z prośbą, by młodzieńcowi w pewnych sprawach bankowych był ku pomocy.

Kazimierz wkrótce spostrzegł, że pan Katikst czułe spojrzenia rzuca na nadobną postać panny Reginy, a co gorsza, że panna Regina mile to przyjmuje i o ile okoliczności na to pozwalały, chętnie mu się odwzajemnia.

Skoro Kazimierz upewnił się o prawdziwych spostrzeżeniach, pożegnał państwa Liwskich i ich przygodnych gości.

Wróćszy do domu opowiedział Rodzicom co i jak tam się układało.

— Szukałem w Reginie czystego, od wszelkiej przymieszki wolnego i wyłącznie mi oddanego serca. Gdy w niej tego przymiotu nieodnalazłem; zostawiłem ją baronetowi, do którego z powodu jego tytułu i prawdopodobnie także ze względu na jego majątek wdychać poczęła.

Ojciec pochwalił postępek syna; ale matka mocno odczuła doznany zawód i rzewnie rozplakała się.

— Niestety! całując syna, narzekała. — Ja tego szczęścia niedożyję, bym tobie, mój serdeczny, w drogę do nowego życia pobłogosławić mogła.

Szczere perswazyje męża jakoteż i syna uspokoić jej nie mogły.

Oj, Kaziu, mój Kaziu! mówiła, bez mego błogosławieństwa staniesz u ołtarza. Bóg mi tego szczęścia nie uczczy! Wola jego święta niech się dzieje!

\* \* \*

„Oścież“ grubą okryła się żałobą. Pani Barbara, która skon swój niedaleki przepowiedała — przed dwoma laty pochowała swego „Stareńskiego“; a dziś dopiero jej odbył się pogrzeb.

Liczni goście już się porozjeźdzali; tylko na dworku czarna jeszcze powiewa chorągiew...

Kazimierz, ciężkim bolem po stracie matki złamany, zamknął się w swym gabinecie; a usiadłszy, oparł łokcie na kolanach a głowę na dłoniach — siedzi nierucho — odrętwiały: tylko łzy, te żywe świadki ciężkiego bólu, co mu serce krwawi, obficie po twarzy spływają.

Zadumał się nad swem sieroctwem! Wiedział, że życie człowieka wiecznie trwać nie

może, że wszystko przemija, przechodzi — odchodzi w wieczność. Nie sądził jednakże, że go rodzice tak wcześniej opuszczą. Nie zastanawiał się nad tem, że i on — chociaż młody — tą samą koleją z tego pa- dołu płaczu — odejść może.

W tak głębokiej zanurzony był zadumie, że nawet niesłyszał jak trzy razy do drzwi pukano. Nawet gdy drzwi otwały się, siedział jak automat — nieruchomo — zapatrzone jedynie w siebie. — Dopiero, gdy gość zbliżył się doń i rękę swą mu na ramieniu położył: drgnął — ocknął się z zadumy — podniósł głowę i wzrok zamglony wbił w przybyłego. Po dłuższej chwili poznał w gościu przyjaciela swego Jana Liwskiego, a otarłszy oczy, podał mu do serdecznego uścisku zimną dłoń, i ruchem ręki zaprosił go, by usiadł koło niego.

Przykrą chwilę głuche trwało milczenie. Przyjaciele ściskali się za ręce.

Przerwał przykre milczenie — Jan.

— Przepraszam cię, Kaziu, że spóźniłem się na smutną uroczystość. Prędzej przybyć

nie mogłem: musiałem nieobecnego szefa zastępować.

— Dziękuję ci, odezwał się Kazimierz, żeś przecie przybył. Jestem tak zbolały, że nie- liczę się nawet ze słowami memi. — Po- radź mi, miły bracie, co mam teraz — sie- rota, samotnik — z sobą poczynać. — Może folwark wypuścić w dzierżawę i przenieść się do miasta. Osamotniony niemógłbym tu długo istnieć, a temperament mój nieszczę- śliwy utrudnia mi wybór drogi w dalszą smutną mą przyszłość. Mów, bracie, co i jak mi radzisz?

— Najprzód — odparł Jan, radzę ci uspokoić się. — Co było — bezpowrotnie minęło; nato rada jedna — jedyna: poddać się losowi, nie rozpaczać a pocieszać się tym pewnikiem, że kto raz to życie docze- sne — zawodów pełne — opuścił: nie umarł, li duch jego rozłączył się z ciałem, gdzie z woli Boga czasowo bytował — i po- wrócił do źródła swego... do Stwórcy — do Pana swego: by w pozagrobowym życiu wiecznie żyć i wiecznej szczęśliwości zaży- wać. Że twoi Rodzice, znani z uczciwości

i prawości, w przybytku Bożym, łaską Boga wedle swych zasług wynagrodzeni — szczęśliwością, jakiejmy ani zrozumieć ani ocenić niepotrafimy — radują się: tego bądź pewnym.

— Ja mam silną wiarę w pozagrobowe życie. Bez tej wiary byłbym najniezwyklejszym stworzeniem, przeznaczonem chyba do współzawodniczenia z najpodlejszym bydłem!...

— Bez zasługi, bez nagrody nie mógłbym tu wlec żywot mój marny — żyć bez celu. Byłbym tu niepotrzebny: wnet też ulotniłbym się stąd; — ale wiara mnie podtrzymuje.

— Idź za moim przykładem i nie rozpaczaj — a poddawszy się konieczności: zabierz się do pracy, a ta ci pozwoli cierpienia duszy twej i serca twego ukoić.

Czasy tak okropne, tak straszne, że nam nie zasklepiac się w niedołęztwie, w lenistwie ducha, a raczej świadomie i odważnie stanąć u wyłomu; a prądu rozbudzonych, gwałtownych namiętności nie powstrzymywać — bo siły nasze za słabe — ale go łagodzić.

— Nieuczciwi, niegodziwi, nikczemni zaprzańce lud nasz ciężkiem życiem zbiezdzony — sromotnie obałamucili, zwierzęce instynkta w nim obudzili tak, że my go przemocą do opamiętania nie przyprowadzimy. Oświecić, uświadomić go, koniecznie potrzeba; a tylko łagodnością i miłością — rozbudzoną w nim nienawiść do lepszych ludzi i do wszystkiego dobra ludzkiego — uśmierzać, serca ulepszać, uszlachetniać i ostatecznie z narodem zjednoczyć, w naród go wcielić.

— Zespolenia całego narodu w jeden duchem narodowym owiany i przejęty organizm — wrogowie nasi najbardziej obawiają się... I tu przyczyna, ciemnienia nas przez Zaborców. — Czasy śródwieczne, gospodarke Raubriterów niemieckich i okropne mordy Iwanów Groźnych przypominające...

— Naród polski mimo swych niemałych wad, jest wysoce szlachetny: wytworzył szlachetność w sobie na zasadach czystej — niestety, dziś samowolą i swawolą skrzywionej nauki Chrystusa — „A ta szlachet-



ność, mówiąc słowa Reja z Nagłowiec —  
*jest gniazdo cnoty, sławy i pocziwości!*

A tej szlachetności naszej wrogowie nasi, jak diabeł święconej wody, obawiają się. Oni dobrze wiedzą, iż gdyby nam się udało inne narody równie uszlachetnić: tyranów nie stałoby na ziemi. Dlatego nas ubezwładniają, deprawują, wiarę i język nam odbierają i z ziemi po dziadach i pradziadach odziedziczonej nas rugują i do swych pogańskich przykuwają ołtarzy — w nadziei, że wynarodowiwszy Polaków, ochronią podwładne sobie narody — od wierność poddańczę na upadek narażającej szlachetności.

Dlatego to, miły druhu, wzywam cię: złóż twą boleść na ołtarzu, zagładą zagrożonej Ojczyzny, a zwróć wszystkie siły ducha i serca ku ochronie narodu przed znikczemnieniem — przed zupełną zagładą. — Pracujmy w tym kierunku połączonymi siłami: Wiedzmy lud nasz przez oświatę do szlachetności, a przez oświatę i szlachetność — do rozumnej wolności!

— Mój drogi Janku! piękne, szczytne to zadania, ale spełnić go dziś już niemoż-

liwie. Lud jest zanadto zdemoralizowany. Zapóźno brać się do tak szczytnego dzieła... zapóźno!

— Nie zapóźno póki w narodzie wielu prawych Polaków, znających swe prawa i swe obowiązki. Niech nas trudna praca nieodstrasza — powoli, powoli możemy dzieła chwały pełne dokonać. Pamiętajmy, że „*gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo*“! Pracujmy nieustannie a kropelka po kropelce wsiąknie prawda w serca ludu i będzie zbawiony!

— Przyjedź, bracie, na kilka dni do nas. — Sabina byłaby tobie bardzo rada. Przyjedź, a postaramy się, by cierpienia twe ukoić i ciebie pożytecznej pracy nad sobą samym i nad biednym, ciemnym ludem powrócić.

— Dobrze! przyjadę.

Kochany Janie!

„Powróciwszy od Was — znacznie uspokoiłem się. Stan obecny zdrowia mego i usposobienie me pozwalają mi dokładnie zastanawiać się nad zadaniami naszymi

względem upośledzonego i opieki, starszej braci pozbawionego, a przez ciebie tak gorąco poleconego ludu“.

„Otwieram szkółkę dla dziatwy wieśniaczej i szkołę dla analfabetów. Ostatnią sam będę kierował; starać się będę słuchaczy moich tak okrzesać, by poznali, że my i oni w tego samego Boga wierzymy; że my i oni w tego samego Boga jednakowo kochać i uwielbiać mamy; że ich mowa jest naszą mową, z mlekiem matek naszych wyssaną, że w ich żyłach ta sama krew polska krąży, co i w naszych; by poznali dzieje narodu... by poznali: — kto im wróg, a kto przyjaciel... brat!

„Do szkółki potrzebuję nauczycielki. Zechciej mi taką przysłać: byle nie bardzo młodą i przystojną — natomiast dobrą Polkę, chcącą się poświęcić dla dobra ludu, a w następstwie tego — łagodną, dziatwę miłośnie traktującą — jednym słowem: — istotę szlachetną“...

„Tak wiele, gorliwie i tak gorąco rozprawialiśmy o szlachetności wrodzonej nam, tak tem zadaniem zająłem i zapaliłem się,

iż zdawało mi się, że jestem obowiązany w ogień skoczyć: by śmiercią moją duszę ludzką w pogorzeliśku pogrzebioną — ratować. Dziś jednakże przekonuję się, że nasze uczucia szlachetności w pewnych wypadkach w należytych karbach utrzymywać — odpowiednio ograniczać powinniśmy“.

„Oto np. odezwało się grono poważnych pań, zamierzających otworzyć „Schronisko dla cudzoziemek“: przeważnie dla nauczycielek, guwernantek szukających u nas zatrudnienia — bez różnicy narodowości i wyznania. Angielki, Francuzki, Niemki — powtarzam: i Niemki, albowiem wszystkie one ulegają tym samym bolom — tym samym zawodom...

„Pocóż one — przeważnie szumowiny swego społeczeństwa — wyrzucone poza granice rodzinnego kraju — pocóż one do nas przybywają? Czyż mało mamy naszych biedot, o których rzetelnie dbać powinniśmy“.

„W dotyczącej odezwie czytamy: „*Gdyby tym biednym, obcym kobietom dać malutki chociaż kącik, któryby za własny uważać*

*mogły, dać otoczenie siostrzane, przed którym mogłyby wynurzyć swe tęsknoty, swe bole, zasięgnąć bodaj rady: to może ta oto cofnęłaby się przed karkołomnym skokiem, a tamta znękana istota odzyskałaby hart duszy i uczciwą i zdrową pracownicą nadal była“.*

„Panie wnioskodawczynio w odezwie swej przynajmniej wyraźnie, że te, *których uroda pociąga oczy ludzkie a temperament podnieca żyją jakiś czas wesoło, potem przychodzi smutna proza życiowa, zdenerwowanie i rozpacz“.*

„Więc my mamy dla cudzoziemek, których uroda i temperament oczy ludzkie (czytaj mężczyzn) pociągają i podniecają i które jakiś czas wesoło żyją, — które oczywiście — są istoty upadłe i które jako nauczycielki i towarzyszkę dzieci naszych — zasady swe destrukcyjne, w serca elewek swych wszczepiały — my mamy dla tych zdeprawowanych, sponiewieranych, istot — umoralniające schroniska otwierać!...

„Powoli, powoli! szanowne panie! Nad Angielkami, gdy naszymi wypowiedzianymi

wrogami nie są, dłużej nie zastanawiam się. — O francuzkach podnoszę, że na naszą litość nie zasługują, choćby swą urodą nikogo nie pociągały. Nasi przodkowie za byt Francji krew przelewali; pobojuwiska francuzkie trupami zaścielali — a jak się Francja nam wywdzięczała i po dziś dzień wywdzięcza?...

„A Niemki — wyrzutki społeczeństwa — nam tak ciężko nienawistnego: szumowiny narodu, który braci naszych z rodzinnej ziemi i własnych ognisk — wypędza, wiarę naszą zozydza, język nam wyrывa, dźwignę naszą za polskość różgami siecze — tu i tam na śmierć zabija, a rodziców i w obronie dźwigny stojących, grzywną i więzieniem karze: wy, szanowne wnioskodawczynio, zamiast protestować każdym słowem, każdym czynem przeciw barbarzyńskim, całej ludzkości urągającym ustawom, wydzierającym braciom naszym najdroższe dobra: ziemię od wieków dziedziczną i język z mlekiem matek wyssany — wy wielce łaskawe, panie, nie tylko, że za sprowadzaniem Niemek jako przewodniczek dzieci naszych głosujecie,

ale — co gorsza — dla nich, gdy wdzięki swe wesołem życiem przefrymarczą, podwoje siostrzaną miłością owianego przytuliska gościnnie otwieracie. — Pomyślcie Panie, czy szlachetność waszą nie za daleko posuwacie? “

„Nauczycielki obcego autoramentu wogóle są bardzo niebezpieczne: zaszczepiają bowiem w serca dzieci naszych oprócz wielu innych trucizn — wysokie rozumienie o swej ojczyźnie a upośledzają naród nasz jako mniej wartościowy“.

„O, ludzie! ludzie! dokąd dążycie? Czyż powołaniem waszem Polki, — niewolę narodu naszego, sromotę Ojczyzny naszej, jeszcze pogłębiać? Czy sumienie wasze na wiadomość o niecnym zamiarach zaborców — milczy? Czy serca wasze na samą myśl o tak niegodnych zapędach nie krwawią się? Jakież to piętno wyciskacie na czołach waszych?“

„Tyle nędzy u nas moralnej i materialnej, a wy szanowne panie, tej nędzy widzieć nie chcecie, natomiast lgniecie do obcych a nam wrogich żywiołów!“

„Dzięki Ci kochany Janku, dzięki Twej pocziwej, czcigodnej Pani! Nauka nie poszła w las!“ —

\* \* \*

Lipiec! Brzask — otulonej w półśnie ziemi, pierwszy pokłon daje! I sam się zarumienił — uradowany, dumny, że za nim, promieniami pozłożony słońca, świt, przesłaniec dnia, podąży. —

I zaszumiały lasy a chyląc dumne karki oddają pokłon Panu swemu!...

I zahuczały wody witając z za mgieł i chmur wychylający się poranek!...

I kur wita go śpiewem porannym; i ptaszęta ze snu obudzone zawiodły na chwałę Boga, Pana tuż za świtem wschodzącego słońca — pieśń dziękczynną — hymn pochwalny, uwielbienia pełny!...

I weszło słońce, w pełnej swej okazałości, w majestacie światła i ciepła, i rozjaśniło i ogrzewać poczęło ze snu budzącą się ziemię.

I zazieleniły się pola a złotem i srebrem okryte zboża dumnie podnoszą kłosa!

I ludek obudził się, a oddawszy dziękczynny pokłon Bogu, światów Panu — spieszy do dziennej pracy.

I ziemia rozweseliła swe oblicze — pokazując zapracowanemu człowiekowi, niewyczerpane skarby swe!...

\* \* \*

Dzień lipcowy — południe zbliża się — upał — skwar straszliwy, ubezwładniający nie tylko siły fizyczne człowieka ale nawet i ducha jego: — ciepłomierz wskazuje + 30° R — w cieniu

W przestworzu cisza głucha, a złotawy pyłek unosi się w powietrzu i przysłania jakby gazą piekące promienie słońca. W polu wszelka praca ustała: robotnicy szukają chłodu — szukają cienia. — A nie tylko w polu cisza — umilkły i rozhowy w lesie — tu cisza głucha; wysokopienne, stuletnie dęby pochyliły korony: a żaden listek nie kołysze się — nie szeleszczy. Kwiaty i trawy zwarzone kurczą się, wędnieją — żółknieją. — Koncert leśnych śpiewaków ucichł: ptaszęta pochowały się w niedo-

stępne promieniom słońca kryjówki. — Nawet słowika ucichły melancholijne łkania. — Trzody z pastwisk uciekają do swych zagród; a psy pokuliły się w budach. — Powierzchnia stawu — szyba nieruchoma — promieniami słońca ozłocona — drzemie i marzy o cudach natury...

— I mnie, marmotał Kazimierz, spiekota spędziła z pola. Zaszyłem się w mej kancelaryi — jedynym pokoju, położonym na północ. Tu mogę spokojnie i przyjemnie odpoczywać, nietroszcząc się wcale o niegodziwe gorąco...

Usnął. A gdy po godzinie obudził się rozpromienionem okiem patrzył przed siebie; po chwili zaś półgłosem odezwał się:

— Niezwykle rozkoszny sen kołysał duszę moją mamidłami: jakie oby na jawie urzeczywistniły się...

— Siedziałem w cieniu rozłożystej lipy; a do boku mego tuliło się cudne dziewczę nadstawiając mi drobniusie koralowe usteczka — do pocałunku. — A Bóg dobry błogosławił nam; opasawszy nas i zespo-

liwszy z sobą przepiękną wszystkimi barwami rozświetloną tęczę. —

— Obrazek ten, tak żywo mi się przedstawiał, iż na jawie wyraźniej nie mógłby objawić się. Toż dusza moja rozradowana, rozpromieniona tym pięknym, wspaniałym obrazem, zapomniała o bólu, co ją ogromem swym przynęcała.

— Że serce me tem sennem widziadłem radowało się, nie potrzebuję chyba nikogo upewniać, a każdy nieznieczulony słowu memu uwierzyłby, gdybym go powiadomił, że samotne życie wiodę — że mam lat 34... wiek, co w danych okolicznościach takich wrażeń na jawie — spragniony!...

— Prawda, w tym wieku raczej — działać a nie marzyć nam; powinniśmy raczej w duchu naszym spowitą silną wolę rozbudzić: a ta wola zaprowadziłaby nas do źródła, jedynie zdolnego — pragnienia nasze — choćby spóźnione — zaspokoić. —

— Prawda. Niestety, temperament mój — a ten jest wrodzony: ani wychowanie domowe, ani szkoła świata — zmienić go nie

moga; otóż ten mój temperament sprawia, że mi brak rzutkości umysłu i żywszej energii w postępowaniu; o ile to postępowanie mianowicie miałyby na celu zaspokojenie potrzeb duchowych... Z naturą trudno iść w załębki!

— W chwili, gdy miałem towarzyszkę mą przyhołubić, padł strzał: pierzchno senne zjawisko — otworzyłem oczy, a myśląc, że ktoś pod oknami może do wróbli strzelał: chciałem gniewać się, że mnie wyrwał słodkiemu marzeniu.

— Wtem do drzwi zapukano. Aha! to ów strzał! Zawołałem: wolno! —

— Drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju chłopak mój, Ignaś, jak zawsze z dobrodusznym uśmiechem na ustach.

— Co tam nowego?

— Proszę łaski pana, jacyś goście przyjechali.

— Goście! O tej porze — w taką spiekotę gdy ciężko w cieniu oddychać, a cóż dopiero w polu.

— Cóż to za goście? Poczta przyjechali?

— Jacyś nieznajomi: pan i dwie panie; przyjechali starą bryką...

Przy pomocy chłopca, ubrał się pędkiem. A gdy wyszedł, zastał w sieniach niemłodego mężczyznę, który mu się przedstawił:

— Eugeniusz Władomilski, obywatel z Kamieńca Podolskiego. Przychodzę prosić szanownego pana o przytułek parogodzinny z powodu nadmiernego upału. Kobiety moje omdlewają. Zajechaliśmy do karczmy, ale tam taki ciężki zaduch, taki brud i tak szkodliwe, mikrobami przesycone powietrze, iż niepodobna było tam zatrzymać się. To mnie ośmieliło zapukać do drzwi szanownego pana i prosić o przytułek.

— Ależ czcigodny panie! Cenię się szczęśliwym, że mogę szanownym państwu w tak przykrem położeniu być pomocnym. Jak najuprzejmiej zapraszam państwa pod mój skromny dach.

I podbiegł do powozu.

Przedstawiwszy się paniom: matce i córce, gęstym i długim welonem okrytej, otworzył drzwiczki powozu, podał rękę starszej pani i sprowadził ją po bardzo wysokim stopniu

dosyć zręcznie na ziemię. Za mamą skoczyła córka.

Wprowadził gości do kancelaryi — przepraszając za nieporządek tu panujący: jaki zwykle bywa w kawalerskim pomieszkaniu. — Ale, dodał, jest to najdogodniejszy — chłodny kącik, gdzie panie swobodnie i wygodnie wypocząć mogą. Szanownego pana zaś, zapraszam do mej sypialni, gdzie wprowadzie tak jak tu, nie jest chłodno — zawsze atoli przyjemniej jak w słońcu.

Rozlokowawszy gości, pchnął Ignasia do gumienego, by córkę jego, dosyć zwinną dziewczynę, do obsługi pań sprowadził. Równocześnie nakazał mu, by sam był na rozkazy pana Władomilskiego.

Zadysonowawszy obiad i zarządziwszy, że obiad ma być podany w saloniku, udał się do ogrodu — do cienistej altanki, a rzuciwszy się na ławeczkę przymknął oczy w nadziei, że zaśnie a dusza odtworzy mu ciąg dalszy sennego widziadła. Niestety! Napróżno zamykał powieki: sen nie przybywał. — Co robić? Zgodzić się trzeba z wolą nieprzyjaznego losu.

— A taki słodki był ów sen... Pijacy twierdzą, że nawet we śnie piją, a zbudziwszy się — pragną i czempredzej napojem gaszą we śnie obudzone pragnienie.

— I ja, szeptał, we śnie upiłem się miłością... Cóż dziwnego, że ocknąwszy się — pragnę — pragnę rozpoczętą dokończyć piosenkę. —

— Leżąc na twardej ławce z przymkniętymi oczyma — ciągnął dalej — marzę na jawie. Niestety! Wpływy zewnętrzne utrudniają pracę duszy: — marzenia pełne ponętnych malowideł — nie mogą budzić się w mej głowie...

— Przypominam sobie zdanie mędrca: „Życie jest snem!”

— Wybrańcom ślepej fortuny zbiega życie po drogach kwieciami usłanych chyżo i wesoło; wydziedziczonym zaś — rozwijają się gościńce cierniem i głógiem pokryte. Wydziedziczeni odbywają swą pielgrzymkę — z raną w sercu, bolem duszy, ze łzą w oku!

— Najsmutniej określił życie Dagobert Amyntor. Zapytany: co jest życie — związłe odpowiedział: »*On entre — on crie; et*

*c'est la vie!*« Nie dowcip to orzeczenie, jak może nie jeden sądzi, a raczej twardy, okrutny pesymizm. Zdanie owe raczej stwierdzić chciałoby, że życie nasze jest tak podłe, iż w niem niema nic dobrego: — wszędy sły-chać... jeden szloch!

— Niestety! Dużo prawdy w tem orzeczeniu... ale nie cała prawda. Przekonany albowiem jestem, że w życiu najniezszczęśliwszego człowieka, są chwile, w których i przez najczarniejsze chmury przedziera się promień słońca — choć chwilowo życie mu rozjaśnia i pozwala mu mieć nadzieję polepszenia ciężkiej doli.

— A temperament mój podszeptuje mi: „Budowałeś przybytek szczęśliwości ziemskiej; lecz złym byłeś budowniczym: gmach runął się w gruzy i rozsypał. — I błądzisz wśródpruin młodości... Pragniesz nową, na silniejszych podstawach, wznieść świątynię i w niej nieskażoną miłości zapalić pochodnię... Marzysz — o jakimś sennem wdziale...”

— Zdanie Francuza: „Życie — to płacz!” Gdyby miało się na mnie sprawdzić, spo-



wodowałyby niezawodnie skrócenie nędznego żywota.

— Lecz, co znaczy życie moje — życie jednostki w porównaniu z życiem całego narodu!

W odpowiedzi na to mimowolne pytanie — począł rozmyślać nad losami narodu swego...

— Serce mi się zakrwawiło, szeptał, dusza pod ogromem nieszczęsnej doli naszej omdlewa; a umysł zniszczeniem ducha grozi. Gdy myślą przebiegam katownie powstałe na wszystkich ziemiach polskich, pod maczugą pruskich rządów i pod knutem moskiewskim, a gdy oczyma duszy mej oglądam krwią najdroższą dzieci — Matki - Polski — okipiałe cmentarzyska: słyszę skrzyp szubienic, świst kul rozbestwionej sołdateski i dziki brutalny rzechot podłych hakatów.

Zdenerwowany, zbolały zerwał się: a padłszy na kolana i wzniosłszy serce, duszę i wzrok swój załzawiony do stropu, przybytku Bożego — załkał:

Naturo! Jehowo! Ojczy! Panie! Boże!  
 Miliony oddają Ci pokłon i chwale;  
 Mój także do Ciebie rwie się duch w pokorze,  
 Lecz ogrom niedoli: — studzi me zapale...

Nic się nie ukrywa przed Twem okiem, Panie!  
 Więc widzisz i ziemię... wiesz co się tu dzieje;  
 I słyszysz narodu — do Ciebie wołanie —  
 Nie zsyłasz pociechy: tracimy nadzieję...

Tyś najsprawiedliwszy, Stworzyciel wszechświata!  
 Więc czyny Twych stworzeń — sam winienesz sędzić:  
 I karać zbrodniarza, gdy morduje brata!...  
 Wyroków nieznamy — możemyż niebłądzić? —

Żeś najlitościwszy — wie serce wierzące:  
 A czemuż z ocz naszych łez potoki płyną?  
 A czemuż krwi naszej — rzeki szumią rwące?  
 Nikt nas niepoucza: — czyż mord nie jest winą! —

Choć zsyłasz ulewy i burze na ziemię,  
 Miotasz błyskawice i strącasz pioruny: —  
 Najazd Ci urąga! A nas, wierneć plemię,  
 W zaborców niewoli: — mar kryją całuny!

Inaczej bywało. — Gdy ludzkie sprośności  
 Miarę przebiebrały; gdy złość dłużej trwała:  
 Karałeś grzeszników srogo — bez litości;  
 Świat ognie paliły, woda go zmywała!

Ale sprawiedliwych ratowałeś Panie!  
 Gasiłeś pożogi, ochraniałeś strzechę;  
 Każdą ludów skargę, każde ich wołanie  
 Słyszałeś i biednym zsyłałeś pociechę.

Przeznaczenie.

Tak niegdyś bywało: dziś inak! — Gwałtowne  
 Za Twoim wyrokiem zaszły tu odmiany:  
 Zesłałeś Chrystusa — i słowo cudowne,  
 Zburzyło świat stary, zburzyło bałwany!

Świat krwią świętą Syna Twego odkupiony,  
 Przezeń wskazanymi, nowymi szedł tory;  
 Poganizm był upadł — krzyżem obalony: —  
 Lecz mu duch zaborców — nowe wzniosł podpory!

Najezdca ziem polskich purpurą odziany,  
 Z koroną na głowie, z maską cnoty w twarzy:  
 Chwyciwszy krzyż w dłonie łańcuchem związany,  
 Rozparł się na tronie — strąconych włodarzy!

Ogłosiwszy światu swą mądrość i dzielność,  
 Wiare błędną — drogą — do nieba wiodącą;  
 Jedność ziem zabranych i ich niepodzielność: —  
 Żelaznym łańcuchem skuł ludzkość mdlejącą.

Przemoc — skarbów ziem i serc naszych znawczyni  
 Najlepszych morduje, a resztę nędzarzy  
 Do pogańskiej pędzi nahajem świątyni;  
 Do pogańskich siłą przykuwa ołtarzy!...

Sto lat z górą, Panie, ta przemoc nas nęka,  
 Krwi i łez ziemia strumienie wypła.  
 Całe nasze życie — jedna krwawa męka;  
 Ziemia polska, — jedna olbrzymia mogiła! —

My na tej mogile znękani kłękamy,  
 Podnosim do Ciebie naszą istność całą, —  
 I ręce składamy, pokornie błagamy: —  
 Ukróć wrogów naszych nienawiść zuchwałą!

Złóż na jednej równi — dziadów naszych winy,  
 A na drugiej wnuków krwi i łez strumienie;  
 Jeżeli przeważą nieczne przodków czyny;  
 To zechciej niewinnych uwzględnić cierpienie...

O, daj się przebłagać, Sędzio sprawiedliwy!  
 Rzeknij: a powstanie mać zakuta w grobie!...  
 O, daj się przebłagać Ojczyźnie liściom: —  
 Wznies z naszej mogiły wieczny pomnik sobie!

Patrz, Panie, wszechmocny! u stóp Twych ołtarzy  
 W gorącej modlitwie Piastowska gromada...  
 Pękają wrzęciadze: o złowrogiej twarzy  
 Dzicz na rozkaz władzy — do świątyni wpada!

Dzicz to inna — w zbrodniach zaprawiona  
 Biczuje i więzi w Twym, Panie, kościele,  
 Znieważa Twą wiare tłuszcza rozbestwiona:  
 A szczerych obrońców — niestety, nie wiele!

Ziemia nasza święta rozdarta w kawały,  
 Skrzypią na niej, Panie, szubienic tysiące;  
 Cały obszar Polski krew i łzy zalały  
 A prawa nadane, naród nasz niszczące!...

Toteż w nas przestają serca bić zbolełe,  
I rozum śmiertelny ostać się nie może: —  
Czyny tak haniebne, rozboje zuchwałę,  
Że całe powinno zaryczeć przestworze...

Tymczasem tym zbrodniom Twe przyświeca słońce,  
Jak u szczytu szczęścia wszystkie błyszczą zorze;  
Ani jednej chmurki na tym horyzoncie,  
Nawet ziemia nie drży, nieszaleje morze!

Gdzież Twoja wszechwiedza? Gdzież Twa  
[sprawiedliwość?  
Gdzie dobroć, gdzie łaska, gdzie Twoja potęga?  
Czyż tak losów naszych splątana zawiłość,  
Że Twa ją rozwikłać niepodoła ręka?

Czy Twoja potęga istotnie zmalała?  
Czy może pioruny w Twem ręku pogasty?  
Czy może natura zwyrodniała cała,  
Że tak straszne czasy w biednej Polsce zaszły?

Toż wiary, nadziei, miłości zakony  
Z dniem każdym maleją: gdy zaborcom, Panie,  
Bezkarnie przepuszczasz krwiożercze zagony,  
Na zbrodniarzów głowy nie spada karanie!

Jeśli Ciebie, Panie, nad wszystko kochamy  
Wtedy — tylko wtedy, gdy Tobie należne  
Hołdy — światoburcom bez ujmy składamy;  
Gdy radzi witamy ich bandy łupieżne;

Jeżeli bliźniego — wtedy miłujemy,  
Jak Chrystus przykazał — serdecznie i wiernie,  
Gdy na rozkaz władzy bliźnich mordujemy;  
Gdy w zorane czoła wbijamy im ciernie:

To racz nas pouczyć, że działać musimy,  
Jak niecny zaborca działać rozkazuje;  
Że na sądy jego mylnie się żalimy: —  
Bo Ty sam potwierdzasz — co on wyrokuję!...

Jeżeli błądzimy, nie nasza w tem wina —  
Nie nasza w tem wina, że nie widzimy cesarzech  
Zastępców Chrystusa, Twego, Panie, Syna: —  
Toż o obowiązkach — o psich poucz nas „warach!“

Czemuż nieświadomych skazujesz na karę?  
Dlaczego w tak ciężkiej żyjemy niedoli?  
Czemuż-to, o czemu za najżywszą wiarę  
Wtłoczono nam jarzmo sromotnej niewoli?

Duchu mój! u stóp tronu Pana  
Padnij skruszon na kolana  
Podaj czarę z krwią i łzami —  
Niech rozrządzi Stwórcą nami!

Łzami Panu stopy zroś:  
O zbawienie Polski proś! —  
O przebaczenie Pana proś  
Ciężkich moich win: —  
Wydrzeć Polskę Bogu chciałem —  
Wierny Matce syn!

Uspokoiwszy fale wzburzonych uczuć swych, usiadł przy stoliku i począł rozmyślać nad dotychczasowem życiem swem i wywnioskował, iż jeżeli ono było snem: to był to sen — bez mamideł, bez malowniczych widoków a często i bez nadziei uśmierzenia goryczy pierś mu zalewającej — bez nadziei ugaszenia pragnienia ziemskiej szczęśliwości. — Z tych rozpamiętywań wysnuwał nić złotą nawiązując ją do sennego zjawiska...

Sny czasem sprawdzają się...

I ja miałem sen — działo się w czasie najjaskrawszego, krzyczącego z Iwanami ręka w rękę idącego — absolutyzmu: — 1. Sierpnia 1847 — przed wschodem słońca:

„Tuż przed drzewem, w którego cieniu siedziałem, stało w pełnem uzbrojeniu dwóch strażaków pogranicznych austriackiego autoramentu — w niewielkim odstępnie od siebie“...

„Cicho, jasno, ciepło i pogodnie w przestworzu. — Naraz powstały szmery, niby

powiew zefirów; bujne kłosa okolicznych zbóż zafalowały, drzewa harmonijnie szleszcząc, korony swe pochylały: ptaszęta zawiodły wesoły śpiew... Wrota niebios rozwarły się — i spłynęła z rajskich krain postać kobieca w białej, powłóczystej szacie, w koronie królewskiej na głowie, z białym orłem na piersiach... i stanęła na ziemi — właśnie między owymi dwoma strażnikami“.

„Nad jej głową dwaj aniołkowie długą i szeroką trzymali wstęgę; a na wstędze promieniał napis: „Gloria i excelsis Deo!“...

Ledwie odczytałem ten napis, zbudzono mnie. „Wstawaj, woła towarzysz serdeczny, idziemy wieńczyć mogiłę męczenników naszych!“

Czyż ten sen nie sprawdził się!...

Czyż nie mamy miniaturę Polski w granicach Austrii...

Prawdopodobnie duch ludzki we śnie chwilowo opuszcza swą powłokę cielesną i łączy się z duchem Bożym i z Jego woli przedstawia śpiącemu w obrazach przyszłość jego — przyszłość ludzkości...

Niestety! wyzwolony odłamek Polski jest

dziś przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów tak zawichrzony, iż wierzyć się nie chce, iż ci wszyscy spokoju naszego burzyciele, są wyznawcami jedyne go Boga, który miłować bliźniego nakazuje.

Duch Boży wyzwolił tę część Polski z najcięższej niewoli i tą łaską swą obudził w sercach naszych nadzieję, że i inne części Polski w swoim czasie zmartwychpowstaną!...

Kazimierzowi błysnęła nadzieja, że dlań słońeczko jeszcze zapłonie...

— Starzejący się, myślał, bez rodziny, bez przyjaciela samotnie żyjący a spragniony towarzystwa, — szukałem — towarzyszki — o szukałem jej i ułowiłem... złudną marę! A ja pragnę głębokiej, nieskałanej, czystej miłości — tylko miłości...

W tem posłyszał głosy: głos przygodnego gościa swego i Ignasia.

— Gdzie twój pan?

— Tam w altance spoczywa.

— Może pan drzemie: to mu przeszkadzać nie będę.

Chciałbym mu podziękować za dany nam przytułek i pożegnać go.

Kazimierz usłyszawszy te słowa: wybiegł z altany.

— Pan Władomiłski obaczywszy go: Niechciałem, zawołał, szanownego gospodarza niepokoić — przybywam podziękować mu za iście staropolską gościnność w swoim i mej rodziny imieniu i pożegnać Go.

— Nic z tego! odparł: koła u bryki każe pozdejmować — a bez posiłku niepuszczę państwa. A zwróciwszy się do Ignasia: zaraz do stołu nakrywać; a kucharz niech obiad podaje.

— Czcigodny panie! mówił dalej. Proszę bardzo, najuprzejmiej proszę: raczcie, czcigodni państwo, łaskawie przyjąć czem chata bogata. Odjazd wasz bezzwłoczny — sprawiłyby mi bolesną krzywdę. Zostańcie, zostańcie: w międzyczasie powietrze ochłodnie; wiaterek już wiać poczyna: będzie przyjemniej chłodem dalszą podróż odbywać.

— Dziękuje szczerze, odezwał się gość, za twą, szanowny panie życzliwość — je-

dnakże w tej sprawie poprzód muszę się porozumieć z moją rodziną...

Porozumienie nastąpiło: zaprosiny przyjęto. — Gdy obiad podano — Kazimierz udał się sam do swych gości z zawiadomieniem o tem.

Wszedłszy do zajmowanego przez nich pokoju, ledwie mógł zaproszenie wygłosić — tak mu zaimponowała panna Aniela! Narody klękajcie! Piękność niezwykła! Słuszna blondyna, włosy trochę wzburzone, oczy precudne szafiry, duże — wesoło patrzące, brwi gęste, ciemne, śmiałym łukiem zatoczone, czoło białusie, wysokie, pogodne, uszka zgrabniutkie, wielkości połowy łupiny orzecha włoskiego, nosek grecki, usteczka małe karminowe — bardzo ponętne — ząbki śnieżnej białości a tak drobne, że je przy rozchylonych ustach zaledwie dostrzedz można, policzki lekko zarumienione, figura wspaniała — całość zdolna najbielszego skusić anioła; a co najważniejsza: przypomniała Kazimierzowi jego senne zjawisko.

Niedziwota więc, że on zwykły śmier-

telnik a do piękna wdychający, na widok tej czarodziejki — pozwałam sobie — trywialnie wyrazić się — omal języka niezapomniał w gębie...

Tak panna Aniela, jakoteż mama Dobrodziejka zauważały jego pomieszenie i prawdopodobnie zrozumiały, co w tej chwili dusza jego zawyrokowała i jak ten wyrok serce przyjęło.

Zmuszony podać ramię pani Władomilskiej, omal że się nieogładnął poza siebie, by idącej za nimi z ojczulkiem pannie Anieli zajrzeć w oczy i zmierzyć ich głębieć.

Tatko Dobrodziej poznał także niezwykle pomieszenie gospodarza — uznał je jako rzecz naturalną i prawie wdzięcznym był mu za nie. Z córką nie rozmawiał ale, zadowolony uśmiechał się do niej — rozmawiając z nią — oczyma.

Przy stole pani Władomilska zajęła jej należące pierwsze miejsce, a po prawicy jej usiadł tatko a po lewicy nadobna panna Aniela. Kazimierz usiadł na przeciwko starszej pani i uprosił ją, by rolę gospodyni łaskawie przyjęła.

Chętnie i z pewnym wdziękiem gosporowała. Po objęciu się uśmiechając się zapytała go z jakich powodów wiedzie życie samotne. — Czy pan jesteś nieprzyjacielem gwarnej życia w kole dobrych ludzi — w kole liczniejszej rodziny? pytała.

— O nie! o nie! odparł — jak można być nieprzyjacielem dobrych ludzi, jak można być wrogiem — tu spojrzawszy przelotnie na swą sąsiadkę po prawicy — jak można być wrogiem powtórzył własnej rodziny, której najpiękniejszą ozdobą jest arcydzieło słowa Bożego — kochana i kochająca — matka?...

— O! szczerze dziękuję panu, odparła przygodna gosposia, za tak szczytny komplement, zrobiony pod adresem matek; tem mocniej zaostrza się ciekawość moja, czemu pan, tak miłośniczo rodzinę oceniający — po dziś dzień kochaną i kochającą rodziną nie otoczyłeś się?

— Pani łaskawa! kobietę jako ideał wszelkiego dobra i piękna — podziwiam, a jako skarbnicę miłości najczystszej, ze źródła Bożego — wysoce cenię, uwielbiam,

a mimo to dostałem kosa od istoty, która mi serce zabrała. Oddała swą rękę innemu, bogatszemu, a o którym dobrze wiedziałem, że mu miłszy był posag niżeli właścicielka tego posagu. O czem nawet i rodzice jej przekonani byli...

— Ten postępek mej boginki otrzeźwił mnie, odebrał mi wiarę w bezinteresowną miłość i od dalszych zabiegów odstraszył. Zostałem starym kawalerem, żyję samotnie na mej grudzie. Kocham tę ziemię, kocham jej wody, jej pola i lasy; śpiew ptasząt mnie czaruje; a gdy zórawie te strony opuszczają posyłam im głośnie, ciepłe: dowidzenia!

— A gdy wiosna zawita, gdy:

*Szczodra ręką złoto sypie,  
W blask słoneczny stroi świat  
I miłości pieśń wydzwania,  
Jak za dawnych lat...\*)*

składam dobremu Bogu dzięki za tak hojne dary... I zima ma swe powaby: tylko trzeba umieć je poznać, i uznać i należycie

\*) Zdzisław Dębicki.

ocenić. We dnie bawię się w literata: piszę co mi duch i serce dyktują a biednemu, ciemnemu i obałamuconemu ludowi niejaką korzyść przynosi; wieczory zaś spędzam albo z dobrą książką w ręku lub przy fortepianie; często, z temperamentem moim w zgodzie, do północy marzę. — I czas mi ucieka chyżej, jakbym tego pragnął. Z tej szybkiej jazdy czasu, mam tę korzyść, że mego odosobnienia prawie nieodczuwam. Tylko jesień, gdy słotna i błotna, gdy praca w polu ustaje — męczy mi ducha: staję się prawie niezdolnym nie tylko do pracy ale nawet do zdrowych myśli.

— Odziedziczyłem tę wioskę po rodzicach, którzy biedny ludek nasz kochali — w niedoli pocieszali, pomagali, w chorobie leczyli. Ja idę za ich przykładem: czynię dla ludu co mogę; otworzyłem szkołę dla dziatwy — analfabetów sam poduczam. Do niedawna lud ten był nam przychylny i wdzięczny; dzieci swe do szkoły posyłał. A podnoszę, że większa część tutejszych wieśniaków — Rusini...

Dzisiaj, niestety, inaczej. Złe duchy, na-

słane przez Krzyżaków i Moskali, obiecują chłopstwu złote góry, obałamucili lud zupełnie. Biorą wszystko co im się podaje, ale do pracy wtedy tylko stają, gdy głód dokucza. — Smutne czasy: a będą jeszcze smutniejsze! Przyczyna w nas samych. Lekomyślni, leniwi, niedołączni umysłowo, ospali w gospodarce — bez wyrachowania bez troski o własne dobro i marnotrawcy; hulamy, podróżujemy niepotrzebnie — dobytek tracimy a lichwiarze z gniazd rodzinnych nas wyrzucają... — Umilkł. — Cisza...

— Losy nasze, odezwał się po chwili pan Władomilski, we wszystkich trzech zaborach — bardzo smutne. — O zaborach rosyjskich i pruskich niema co wspominać. Tam tyle światła, prawdy i wolności, ile „urzędowe“ koleje i telegrafy *pro bono publico* przyniosą. — Co tam się dzieje całemu światu cywilizowanemu dobrze wiadomo. A ten świat zniewieściały, przez swych władków do dźwignia jarzma zwyczajony, milczy, stula uszy i ogon pod siebie ściąga.



— Tu w Galicyi — o ile mi wiadomo — można wolniej oddychać; a mogłoby być lepiej, swobodniej: gdyby nasi „najsierdecniejsi“ dołków wam pod nogami niekopali, a krecimi chodnikami pracę najuczciwszych ludzi — nie unicestwiali.

— Jak słyszę, mówił dalej, już i Niemcy tutaj zamieszkali, odrębnie organizują się, odrębne zcentralizowane koła, któreby swego zastępcę do ciał prawodawczych wysyłało formują. — Te same zamiary żywią i Syoniści. — Dzieje się to za podniętą rzekomych Ukraińców i Prusaków. Jedni i drudzy: — narzędzia hakatystów.

— Niesłyszałem, by dotyczące czynniki w kraju przeciwko tym złowrogim zapędom skutecznie przeciwdziałali.

— Spisek Śgo Przymierza przeciwko Polonii — odnowiony. — Do nogi nas wygubić: to cel łupieżców. Za szlachetni im jesteśmy — wolnodumcy — dlatego „precz z tym narodem“!

— Zamiar ten niegodziwej Ligi, rozpoczął teraz gwałtowniej w czyn wprowadzać Krzyżaków godny następcą — Prusak. Z nim

idzie ręka w rękę Moskał; a trzeci w tajemnej zмовie im pomaga.

— Święte przymierze rozporządza olbrzymią siłą fizyczną i nietrudno im byłoby połączonemi siłami nas doszczętu wygubić. Naszym więc obowiązkiem ducha naszego potęgować, jednoczyć się w jedno duchem narodowym owiane i zespolone stronnictwo... Jednością ducha silni wszelką siłą fizyczną złamiemy...

— Ale Marylko! myśmy się tu rozgadali a nam czas w drogę. Pożegnajmy wielce szanownego gospodarza z podziękowaniem za użyczony nam przytułek i gościnność — i wio!

Nastało pożegnanie — podnieść się gości — tak bezpretensjonalne, tak serdeczne, jakby się działo nie między zupełnie obcymi a między starymi znajomymi i od dawna zaprzyjaźnionymi...

Pani Władomilska wsiadając do powozu, podawszy gospodarzowi rękę, którą on ucałował, życzyła mu, by nie zadomawiał się, by nie stetryczał...

Obywatelstwa, mówiała, masz pan w okolicy prawdopodobnie dosyć.

— Niestety! odparł — ani jednego „Swego“ — sami wrogowie!

— Smutno, bardzo smutno!

Gdy odjechali, Kazimierz patrzył za nimi, aż powóz zniknął mu z oczu.

— Wróciwszy do swego gabinetu: szczególnie — powtarzał, szczególnie to ludzie! Prosił o przytułek: dałem im go i ugościłem ich; a prócz nazwiska i że przybyli z Kamieńca podolskiego a w Brzeżańskim szukać mają stałego kąta — nic więcej nie dowiedziałem się. By ich w końcu do wzajemności pewnej zachęcić: wypowiadałem się przed nimi niemal z całego życia mego: — i nic, i nic! Dziwni są ludzie!...

— Panna przez cały czas ust nieotworzyła, tylko wesoło uśmiechnięta od czasu do czasu na rodziców spozierała, a na mnie podczas mej spowiedzi z wyrazem pewnego współczucia — politowania patrzyła... I to wszystko! A moje serce już do niej rwało się... I znowu omyliłem się. Nic niepomocze: trzeba dalej kawalerować.

— A może oni Rusini: przybyli tu po-

większyć kary tutejszych Pseudo-Ukraińców. Kto to może wiedzieć. — A szkoda byłoby panny Anieli — tak pięknej dziewczyny. W duszy mej porównywałem ją z senem zjawiskiem mem!

— Gdyby mnie powiadomili, gdzie prawdopodobnie osiedą — odwiedziłbym ich; a może i odważyłbym się po ten owoc sięgnąć.

— Trzeba z losem godzić się!

\* \* \*

O, jak niegodziwi są ludzie!... Wiemy najlepiej z jakiego powodu państwo Władomilscy schronili się byli pod dach Kazimierza.

Paskudne języki próżniaków ukuli z tego ślepego przypadku szkaradną plotkę: „Władomilscy niemogąc doczekać się adoratora dla panny Anieli — doczekać się zięcia: dowiedziawszy się, że w „Ościeży“ żonaty obywatel żony wynaleźć sobie niemoże, przybyli doń w zamiarze — Kazimierza widokiem nadobnej dziewczycy poduszczyc i do połączenia się z nią zniewolić. A może

dodawano ze złośliwym uśmiechem, inne a nie bardzo pochlebne przyczyny przynagliły rodzinę do tego kroku“.

I tę haniebną plotkę puścili między ludzi: a ci głuptasie lub też złośliwi i nie-sumienni szerzyli plotkę dalej, znajdującą, niestety, wszędzie dobre przyjęcie.

Jak ogień szerzyło się nieczne oszczerstwo; a nikt uczciwy nie znalazł się, któryby był zapytał plotkarza: Byłeś tam, widziałeś, co tam się działo, własnymi oczyma, albo sam słyszałeś o czem tam rozprawiano!

Nie! nikt tak niemyślał: podchwytywał każdy plotkę, jakoby rzecz niepodlegającą rozbiorowi, i podawał ją dalej i dalej; oczerniał najniewinniejszych ludzi: bo mu przyjemność sprawiało obedrzyć bliźniego z dobrego imienia!

Niegodziwi są ludzie! Krzywda wyrządzona niewinnemu bawi ich niepomrotnie!

Rzecz prosta: państwo Władomilscy nic o tem nie wiedzieli — niebyło uczciwego człowieka, któryby ich o tej nikczemnej plotce — bodaj bezimiennie był powia-

domił. A gdyby plotka do nich była dotarła, pan Władomilski, niemógłby był szukać satysfakcyi, gdy cała okolica od bosaka począwszy aż do pałaców o tem niezwykłym zdarzeniu z najlepszą wiarą w jego prawdziwość — rozprawiała.

Pan Władomilski niemógłby był setki przed kratki sądowe powoływać, tem mniej z setkami honorowo rozprawiać się:

Z takimi ludźmi zresztą — honorowo nie rozprawia się. Kto zabije moralnie bliźniego, jest gorszym złoczyńcą, niżli ów, co życie człowiekowi odbiera. — Możnaż go lepiej traktować?

Niegodziwi są ludzie!

\* \* \*

Zaproszony przez komitet utworzyć się mającego „Związku Ziemian“ przybył Kazimierz do stolicy. — Znalazł tu dawnego towarzysza z uniwersytetu — dziś członka komitetu: Bogdana.

Wieczorem udali się obaj do teatru. Na scenie ukazała się komedia: „Moralność pani Dulskiej“. — Rzecz tak niemoralna,

tak sprzeczna z podstawami etyki polskiej, że Kazimierz oburzył się, gdy spostrzegł w lożach pensjonat żeński z kierowniczką zakładu na czele. Z obrzydzeniem opuścił przybytek, którego celem deprawować widzów.

— Czasy! o czasy! zawołał — znalazłszy się ze swym towarzyszem na ulicy. Jak możemy żądać, by było lepiej, gdy uczęszczamy na przedstawienia tak szkaradne, oburzające uczucia prawego człowieka. Teraz niedziwią mnie wcale brzydkie wypadki, jakie według podań gazet, miały miejsce w pewnym pensjonacie.

Następnego wieczora ukazał się na deskach teatralnych: „Kościuszko pod Racławicami“.

Kazimierz znalazł się w teatrze i z wielką przyjemnością przysłuchiwał się znakomitej sztuce, budzącej drogie oraz i bardzo smutne wspomnienia dziejowe.

Gdy po pierwszym akcie zasłona spadła, zaczął przegląd publiczności. Jakże mile został zdziwiony, obaczywszy w łoży I. piętra państwa Włodomiłskich. — W tej chwili pośpieszył powitać przygodnych znajomych.

Gdy wszedł do łoży, przyjęto go bardzo zyczliwie, a zapytany: co w stolicy porabia — opowiedział im cel swego tu pobytu. Równocześnie pozwolił sobie zapytać się, czy państwo stale tu osiedli, czy tylko w przejeździe się tu znajdują?

— Na stałe, na stałe! odparł pan Włodomiłski. I będzie nam bardzo miło powitać szanownego Pana u siebie. Mieszkamy na Kastelówce, ulica nowo otwarta — jeszcze bez nazwy I. 9.

— Serdecznie dziękuję. Nie omieszkam czcigodnym państwu — złożyć moje uszanowanie...

Panna Aniela, myślał, wypiękniała jeszcze więcej; lecz pogoda i uśmiech zniknęły...

Gdy kilka dni później zeszedł się z Bogdanem, opowiedział mu, jak przykrego doznał uczucia w teatrze na przedstawieniu okaleczonej „Lilii Wenedy“ Słowackiego.

— Wasz Dyrektor, mówił, chyba żartuje sobie z tutejszej publiczności. Smutek zapewne, jaki w tych czasach was tłoczy, sprawia, że obojętnie przyjmujecie wszystko, co wam scena podaje. — Smutni wcho-

dziecie do tej świątyni: a smutniejsi opuszczacie ją.

Nic że już nas niepoprawi? Chodzimy jak błędne owce... Umiemy wzdychać — umiemy i hulać! Hulanką osładzamy gorzyc, co nam piersi zalewa i tracimy na lepsze cele potrzebny grosz!... A wszystkie nasze czyny piętnuje — apatya... Czy już niema leku na to odrętwienie, co nas wobec całego świata poniża? Wyrwijmy już raz tę grzeszną obojętność z dusz naszych, a na jej miejsce zaszczerpmy rozwagę, energię i odwagę!

— Niestety! zauważał Bogdan — rozgardiasz tu tak silny, tylu mamy wewnętrznych wrogów: że podołać tej moralnej nędzy naszej niemożemy. Jest koło prawych Polaków. Pracuje ono niezamordowanie nad oczyszczeniem atmosfery zatrutej — nas dławiącej, nad obudzeniem ducha narodowego: bez którego niema lepszej doli — niema przyszłości! Niestety! praca najlepszych pada na zubożniałe żywioły — bez skutku. Najgorętsze nawoływania: groch o ścianę!

— Prawdy nikt słyszeć nie chce; a odważ się słowa prawdy głosić: to cię błotem obrzuca. A nienawiść między stronnictwami tak głęboko zakorzeniona, że zbrodniczej niemocy naszej poświęca się nawet dobro ogółu — dobro Ojczyzny!

— A jeżeliś im z tego powodu wyrzut zrobił: to potwarzy nie ujdiesz — i tej zbrodni nigdy ci nie przebaczą i tak długo nad tobą znęcać się będą, aż nienawiść swą w zemście ostudzą...

— Wewnętrzni nieprzyjaciele wycisnęli na całym życiu naszym i społecznym i politycznym swe obrzydliwe piętno! Smutna — smutna to prawda!

— A nasza brać starsza, potomkowie sławnych hetmanów i wojewodów zesłi za przykładem smutnej pamięci Targowiczan na kręte drogi, biją czołem przed obcymi — a we wszelki możliwy sposób poniżają swoich — gardłując, byśmy się przedzierżgnęli raczej w „świętych“ i wszystkie inne narody umoralniali, aniżeli myśleli o wskrzeszeniu Ojczyzny, którą ich przodkowie porzobili.

— Okropne losy nasze! Oby Bóg, co rządzi światem, zesłał na nas potop lub pożogę i raczej sam wygubił, niżeliby dzieła zniszczenia nasi a i Jego wrogowie mieli dokonać.

— O, mój Bogdanie! Rozpacz bezdena z ciebie przemawia. Tak źle z nami jeszcze nie jest. Miejmy nadzieję że czynniki, co nad polepszeniem losów naszych pracują, spełnią swój obowiązek i ochronią naród od hańby, od zaguby. Naród wyłoni z siebie człowieka, który zło wykorzeni, a w oczyszczonych sercach i duszach naszych miłość dobra zaszczepi, miłość ziemi Ojczyстей zasieje i zbierze żniwo złote!...

W południe udał się Kazimierz do państwa Władomiłskich.

Przyjęto go bardzo życzliwie, jak starego znajomego. Zastał tu dawnego towarzysza na wieczorkach karnawałowych — Mikołaja. Stara się zapewne o posag panny Anieli...

Gospodarze — wzory taktu i gościnności, dziś rzadko gdzie napotykanych: przyjaźnie gościa usposabiają.

— Jakże się panu tu podoba — pyta pani domu, jak się pan bawi, był pan na „Lilii Wenedzie“ i jak się panu przedstawienie podobało?

— Ciekawam bardzo zdania szanownego pana — wtrąciła panna Aniela, spoglądając badawczo na gościa.

— Opuściłem teatr, odparł odczarowany. Pokaliczono sztukę tak, że Słowackiego duch, prawdopodobnie na scenie przytomny, zasmucić się musiał.

— Niepojmuję, czemu publiczność nie zmusi Dyrekcyę do zmiany na lepsze kierunku przy wyborze sztuk, mających być przedstawione i przyprawdzania sztuk pierwszych naszych pisarzy z większym pietyzmem.

Panna Aniela, w której twarzy pewny smutek rysował się a oczy jakimś przymglonym światłem błyszczały,

— Jakim sposobem? odezwała się: a głos jej pieszczotliwy rzewnie brzmiał.

— Zmową! odparł. Niech publiczność „strejk“ zrobi; niech nieuczęszcza do teatru, póki tam niezdrowy kierunek panuje.

Słuchacz powinien z teatru wychodzić po-  
krzepiony na duszy i umoralniony; a nie  
zgorzony.

— Właśnie Anielka po wczorajszym  
przedstawieniu tę samą uwagę zrobiła —  
wtrącił pan Władomilski.

— Nader mi przyjemnie, zwróciwszy się  
do niej, rzekł Kazimierz, że udało mi  
się nieświadomie, w serduszkach pani czytać  
i zgodnie z jej opinią — wyrokować.

Zarumieniła się, a po pięknych ustach  
jej wionął smutek z wyrazem zadowolenia  
zmieszany.

— Mógłby ktoś złośliwy sądzić, że  
pana suggestyonowała... na odległość...

— O pani! niewymownie byłbym szczę-  
śliwy, gdyby w samej rzeczy tak było.

Panna Aniela silnie spiekła raczki...

Mikołaj wstał i ja za jego poszedłem  
przykładem — skończona wizyta: wyszliśmy.

— Wyszedszy na ulicę, zapytałem Mi-  
kołaja: czy mu niewiadomo, z jakiego po-  
wodu panna Aniela tak bardzo wydaje się  
być smutną, coś niedobrego czystą duszę  
jej tłoczy.

— A nietrudno dorozumieć się tego po-  
wodu. Czy ci niewiadoma scena, jaka przed  
półrokiem w domu państwa Władomilskich  
rozegrała się?

— Nic nie wiem: Wieśniak — pracuję  
około mej gleby a tu po ukończeniu stu-  
dyów uniwersyteckich nie miałem powodu  
zaglądać.

— O, to brzydka sprawa. Panna Aniela  
była narzeczoną pana Anatola, bardzo sym-  
patycznego, i wcale niegłupiego a dosyć  
zamożnego, młodego obywatela. Zrękowiny  
odbyły się w Kamieńcu podolskim, skąd  
państwo Władomilscy do Galicyi przesiedlili  
się. — Dzień przed ślubem pan Anatol za-  
żądał od ojca wypłaty posagu w ryczałto-  
wej sumie 50.000 fl. Stary oburzony takim  
postępowaniem przyszłego zięcia zarzucił  
mu, że w tym wypadku widocznie odegrywa  
rolę nie miłość a wórek.

— W tej chwili, mówił, gdybym nawet  
chciał żądaniu twemu zadość uczynić —  
niemógłbym, ponieważ takiej sumy żaden  
dobry gospodarz w domu nietrzyma. Ale  
dodał, aby memu dziecku niesprawić nieprzy-

jemności, mógłbym ci ofiarować 10.000 Koron.

— Nie mogę, przerwał mu Anatol; żądam pełnej sumy.

Gdy ta sprzeczka dosyć głośno odbywała się, panie zajęte w trzecim pokoju, słyszały dosyć, by pojąć, o co Anatolowi chodziło.

Zindignowana Aniela przywoławszy pokojówkę — zdjęła z palca zaręczynowy pierścionek i położywszy go na tacy: idź, rzekła do sługi — do pana Weryhy i oddaj mu ten pierścionek — natomiast załadaj od niego zwrotu mego pierścionka.

Gdy sługa rozkaz spełniła: pan Anatol spokorniał bardzo. Zrzędała mu mina, przeproszał ojca i pobiegł do pań, by usprawiedliwić się, ale pań już nie znalazł. Poznał, że partya przegrana. Nie pozostawało nic innego jak pierścionek panny Anieli ojcu zwrócić. Żegnając się z nim niemal z płaczem usprawiedliwiał swój postępek tem, że jest bardzo zadłużony i że wierzyciele nań bezlitośnie nacierają.

Od tego czasu panna Aniela straciła swój

zwykły, dobry humor, czuje się prawdopodobnie, choć wcale niesłusznie, upokorzoną. A może kochała go czystem sercem. — Stąd smutek panuje nieustannie na jej twarzy i w każdym niemal słowie przebija się.

— Musiała go przecie szczerze kochać, rzekł Kazimierz. — Inaczej niedawałoby się tak głębokie przygnębienie wytłumaczyć, a to tem prawdopodobniej, gdy i on, zdaje mi się, wzajemniał się jej.

— Istotnie tak było. Czasu narzeczeństwa harmonizowali z sobą; pogoda — wesołość panowały w tym domu.

— Padlec! z najpiękniejszą istotą a zapewne i bardzo szlachetną tak szkaradnie postępować. *O tempora o mores!*

— My ich niezmienimy, odparł Bogdan, my ich nie polepszymy. Prądy destrukcyjne naciskają z góry i przenikają wszystkie warstwy społeczeństwa a nie tylko u nas, ale w całej Europie! Naprawę od kolebki poczynąć. Ale jak, gdy rodziców wychowanych na podstawach etycznych tak mało — tak mało! To też za przykładem niemoralne



życie wiodących rodziców — potomstwo degeneruje.

Tak rozprawiając wstąpili młodzi do restauracji na obiad. Zaledwie przy stole usiedli i obiad zadysponowali: przystąpił do nich młody, przystojny brunecik a ukłoniwszy się przemówił:

— Pozwalam sobie zaprosić panów do udziału w powstającym dzienniku „Lud“, którego celem pouczenie ciemne masy ludu o jego prawach i obowiązkach.

— Lud niepomiernie obałamucony, rozpadł się na kilka wręcz sobie przeciwnych, nawzajem siebie nienawidzących stronnictw; i dla tego dodatniego wpływu na sprawy społeczne i polityczne wywierać niemoże. Zadaniem dziennika — rozprószone siły łączyć i razem za odzyskaniem praw naszych walczyć!

— Proszę o program — odezwał się Mikołaj. Skoro przekonam się, że tendencje dziennika uczciwe, dobro całego narodu zastępujące, chętnie go zaprenumeruję.

Pan Ruk skrzywiwszy i wydawszy usta, zwrócił się do Kazimierza z zapytaniem: A pan?

— Podzielam zupełnie zdanie mego towarzysza; za jego przykładem pójdę...

Pan redaktor niezapytawszy panów o adresy:

— Przyślę panom program, rzekł, a ukłoniwszy się dosyć sztywnie, opuścił salę.

— Co to za jeden, zapytał Kazimierz Mikołaja?

— Nie znajomego znaku — patryota. Oszustwem i rabunkiem; a gdy się lepiej w obranym zawodzie wprawi i bratobójstwem Ojczyznę zbawiać będzie.

— Dużo tu macie takich bohaterów?

— Dosyć ich tu grasuje; a każdy dla siebie najniedorzeczniejszymi obietkami łatwowiernych zwabia. Nieoświecony, niedoświadczony lud idzie na lep słodkich słówek takiego łotra i staje się w jego rękę ślepem narzędziem zabijającym ducha narodu na rzecz Moskwy lub Berlina.

— Smutno! smutno! a tem smutniej, gdy w terażniejszych stosunkach przeciwdziałać tak trudno — prawie niemożliwie, gdy górne sfery z mętami niejako w spółce — dobrym ludziom ręce wiążą.

Kazimierz zniechęcony, zdenerwowany przeświadczeniem, że w którąkolwiek stronę skieruje swe kroki, wszędzie spotyka lekko-myślność, łatwowierność, nieudolność, prostracyę ducha, nawet u lepszej klasy narodu: postanowił wracać do siebie, i tam w swych czterech kątach przed zniedołężniałym światem zamknąć się.

Udał się z pożegnaniem do państwa Władomilskich. Pokojowy oświadczył mu, że państwa niema, tylko panienka w domu.

Uradowany nadzieją spotkania się z Anielą we cztery oczy, podał słudze bilet, prosząc by zapytał się panienki, czy zechce go przyjąć, a gdy sługa odszedł — szeptał: sama — wolna — może uda się — Boże! dozwól...

Wrócił pokojowy a otworzywszy drzwi do salonu z niskim ukłonem oświadczył: panienka prosi.

Panna Aniela oczekiwała Kazimierza na środku salonu: a gdy on z należnym ukłonem do niej się zbliżył, podając mu swą drobną rączkę z lekkim uśmiechem na ustach wesoło odezwała się:

— Witam szanownego pana, a zaprosiwszy go by spoczął, — Rodziców niema, mówiła — niebawem atoli wrócą.

— Przychodzę pożegnać szanownych państwa, gdyż jutro opuszczam te strony — wracam do siebie — tam spodziewam się nerwy me, straszliwie tu potargane uspokoić.

— O! co pana tak zdenerwowało?

— Stosunki obecne polityczne a nieco dawniejsze społeczne...

Panna Aniela spojrzała nań, jakby chciała go zapytać: jakie to tu stosunki społeczne są lub były tak niedobre, że aż go zdenerwować mogły; ale zmieniła dyskurs zapytawszy go: kiedy znowu te strony swą bytnością zaszczyci?

O pani! odparł — w jakim kierunku mógłbym ja, zaściankowiec — bytnością moją stolicę — zaszczycić? Pani zanadto łaskawa — na starego samotnika...

— Protestuję co do wieku; a co do samotności: to przecież od woli pana samego zależy tryb życia zmienić...

Przypominam sobie, że w owym, szanow-

nym państwu bardzo niedobrym, dla mnie zaś bardzo szczęśliwym dniu: kiedy to podwzrotnikowy prawie upał zniewolił państwa pod skromnym dachem moim szukać ochłody, — że w owym dniu usprawiedliwiłem moje oderwanie się od do głębi istoty swej zepsutego świata...

— Eh! kto by się dawał zrażać przeciwnościami niezdrowego losu?

— Choćby serce łkało...

Cisza — głucha zapanowała cisza...

Wtem weszli państwo Władomilscy.

— Witamy Szanownego pana — odezwalali się oboje. To bardzo ładnie z twej strony, żeś o nas nie zapomniał.

— Niech łaskawi państwo będą pewni, że zapomnieć Was niemógłbym. Przychodzę pożegnać państwa. Jutro wyjeżdżam — praca w polu wzywa mnie.

— O ile, przerwała panna Aniela, z mowy pańskiej wywnioskować mogę: nie o pracę panu chodzi a raczej o ukojenie bólu serdecznego, co według zdania szanownego pana — tylko w pustkowiu nastąpić może...

— O, to niedobrze! podchwyciła pani

Władomilska — tam w tem pustkowiu stetryczniejesz zupełnie. Bez żadnej odmiany w życiu, bez niczyjej pomocy w załatwianiu spraw domowych, obowiązków obywatelskich, bez rodziny przedwcześnie zginiesz albo umysł twój dozna niepożądanego ewolucji. Szukaj pan w okolicy uczciwej znajomości, ciesz się życiem, póki ono się nie złamie...

— Gdybym miał sąsiedztwo, z jakim dziwakowi takiemu, jak ja — życie przyjemniej upływałoby mogło: niezawodnie korzystałbym z podobnych stosunków. Niestety! w całej okolicy ani jednego domu szczerze polskiego. W okół innoplemieńcy i nam niezyczliwi. I z tych to kół, prawie wyłącznie wychodzą ajenci — obalamujący biednych chłopków naszych.

— Czemu pan częściej do Górowa nie przyjeżdża? tu znalazłoby się może lekarstwo na niedobre usposobienie twoje — odezwał się gospodarz.

— Wiem bardzo dobrze, że nic na świecie trwałego: zło i dobro — niedola i doła przemijają; jedno tylko pozostaje i jak cień

ciągnie się za mną do grobowej deski — wspomnienie.

— Boże mój! jak tu miło czas upływa. A na mnie już czas! Muszę pożegnać państwa. Wracam do siebie i zabieram z sobą to nader miłe wspomnienie, że prawi ludzie na ziemiach Piastowskich jeszcze są!

— Są, są i będą, odezwał się pan Władomilski; i z każdym rokiem koło to powiększać się będzie — ale trzeba chcieć je wyszukać.

— Może przyjedziesz pan na karnawał a przekonasz się o prawdzie słów moich.

— Ja na karnawał, gdy ziemia krwią i łzami opływa — by być świadkiem a może i mimowolnym współnikiem psucia dzieciaków — wdzięczących się zawcześnie do życia... tych naszych „Milusińskich“, albo przypatrywać się, a może i uczestniczyć w hasankach — rzekomo na rzecz nędzy ludzkiej jaka ze wszystkich kątów zęby szczyrzy.

— Mówiąc o „Milusińskich“ — mam na myśli przeważnie dziewczątka — większa ich część są to dzieciaki niezamożnych ro-

dziców. Aby dziewczątka na baliku dobrze się wydało a właściwie by o rzekomo dobrym bycie rodziców świadczyło — trzeba go tak ubrać, by od uczestniczek zabawy, zamożniejszych — wcale nie lub też nie wiele odróżniało się. A skuteczniejszą tę równość nieogłędni rodzice pożyczką — na lichwę. Rodzice rujną się majątkowo, a rujną dziecko swe — moralnie. Taki pędraczek pragnie i w dniu powszednie lepiej ubierać się — i spogląda na swe rówieśnice lepiej ubrane zazdrośnym okiem i pielęgnuje w swem drobnym serduszku żal do rodziców. A gdy takie dziewczątka podrośnie — gdy wyrośnie — pani swej rozwydrzonej woli — wszelkimi godziwymi i niegodziwymi sposobami zdobywa pieniądze — stroi się nad stan... i upada.

— Mniej zamożne małżeństwa póki bezdzietne, a i później gdy rodzina powiększy się — gdy córki podrosną — uczęszczają na bale, na koncerty, przyjmują u siebie gości a wszystko z przepychem nad stan — i zadłużają się tak, iż potem z długów wybrnąć nie mogą. Byłem świadkiem jak pewna

pani, żona radcy — w Banku hipotecznym fortepian zastawiła, by się pokazać w święta wielkanocne.

— Czyż nie korzystniej, nieszlachetniej byłoby — sumę przeznaczoną na opędzenie wydatków na bal, na święta i t. p. na dwie rozdzielić połówki: jedną użyć na własne nieodzowne potrzeby a drugą na otarcie łez w nędzy pogrążonych braci naszych; a długów wcale nie zaciągać. Tak powinniśmy postępować, mianowicie w czasach, w jakich tyle rządów, tyle tysięcy ludzi na naszą zgubę pracują. — Tak postępujemy dla dobra ogółu a sami szukajmy ukojenia serca, pokrzepienia ducha i wzmocnienia nadziei w lepszą przyszłość — w towarzystwach, w kołach i kółkach prawych obywateli, wiernych synów skatowanej naszej Matki, naszej Ojczyzny!...

— Czytasz pan w duszy mej — czarownik z pana, odezwała się panna Aniela.

— Nie czarownik ja — sumienie moje czyste; rzecz więc naturalna, że uczucia me znajdują oddźwięk w każdej duszy podobnie usposobionej. A takie dusze nazywamy po-

krewnemi duszami. Niemaż mnie zadawałać, uszczęśliwiać pewność, że dusza moja podziela uczucia Pani!...

— Tem silniejszy powód byś na karnawał tu zjechał.

— Dziś zaś, odezwała się pani domu, zapraszamy pana na obiadek — może uda się nam wywdzięczyć mu się za dany nam w bardzo przykrej dobie — gościnny przytułek.

— O, łaskawi państwo! niezasłużyłem na tyle życzliwości. Mój uczynek nie zasługuje nawet na wspomnienie: prosty obowiązek nakazywał mi, pomocnym być, gdy pomocnym być mogłem. A zaprosiny łaskawej pani z wdzięcznem sercem przyjmuję — nie jako odwet, a jedynie z powodu tu panującej iście staropolskiej gościnności, jakiej dziś rzadko gdzie doznać można — a która mnie zacofanego, zadomowionego hreczkosieja — naprawdę uszczęśliwia.

— Za wiele, za wiele — przerwał gospodarz, za wiele komplementów, szanowny panie; przyjmujemy je jako zadatek na dalszą życzliwość twoją — jaką — spodzie-

wamy się w niedługim czasie przybyciem na walne zgromadzenie „Związku“ — udowodnić zechcesz.

— Przy pierwszej lepszej sposobności — zbiegnę do stolicy a przytem uszanowanie czcigodnym państwu złożyć nie omieszkam.

— Bierzemy pana za słowo! odezwała się pani domu.

Podczas obiadu zaszumiął stary Węgrzyn a gospodarz wzniosłszy kielich do góry, przemówił:

— Piję na powodzenie usilnym staraniom uczciwego stronnictwa, któregoś pan, kochany gościu, czynnym członkiem jesteś, i zwracam się do Boga słowami Kazimierza Glińskiego wyjętemi z jego pieśni królewskiej:

*Ojców mych Boże!.. weź mię — oddaj męce,  
Stań tylko w mojej Ojczyzny obronie —  
Ujrzysz przez całą noc wzniesione dłonie,  
Przez nocy tysiąc wzniesione w podzięce,  
Że po katuszy zwątpienia i męce  
Stanąłeś Panie, w tej ziemi obronie!*

Rozrzewnieni biesiadnicy uderzyli w kielichy, a łza w każdym błyszczała oku...

Podczas obiadu Kazimierz częściej spozierał na pannę Anielę: jednakże nieudało mu się jej wzrok podchwycić. Małomowna, a prawdopodobnie przyjemnymi myślami zajęta spojierała na matkę z lekkim uśmiechem na ustach. Matka odgadywała jej myśli, gdyż potakiwała jej ruchem głowy również uśmiechając się.

Obiad dobiegał końca, gdy pokojowy przyniósł na tacy i podał Kazimierzowi telegram przyniesiony przez kursora hotelowego.

Kazimierz zaniepokojony prosił gospodarstwa o pozwolenie odczytania telegramu. Przeczytawszy telegram — zbladł.

— Jakieś nieszczęście zawołał, coś bardzo niedobrego zdarzyć się musiało! Może ogień! Kucharz telegrafuje mi: „Wielmożny Panie! proszę wracać!“ Krótka ale ciężarna wiadomość. — Niebawem pociąg odchodzi: czcigodni państwo pozwolą mi odejść.

Żegnano go słowami szczerego współczucia — a na czole panny Anieli zjawił się niedawno spędzony smutek. Pan Władomilski ściskając mu rękę rzekł: Gdy zba-

dasz zdarzenie i umysł twój, przezacny panie Kazimierzu uspokoi się, chciej nas powiadomić: co właściwie zdarzyło się? Dowiedziesz nam tem, żeś przekonany o szczerości naszego współczucia.

Pani Władomilska podając mu rękę dała:

— Z upragnieniem oczekujemy wiadomości — a panna Aniela dorzuciła: Oby wiadomość była dobrą!

Kazimierz spojrział z wyrazem szczerzej wdzięczności na Anielę; a całując podaną mu rękę, rzekł:

— Dziękuję Pani szczerze za dobre życzenie, oraz proszę zezwolić, bym mógł z pragnieniem serca mego w zgodzie, osobiście donieść czcigodnym Państwu — o nieszczęściu, jakie dom mój nawiedziło.

— Będzie nam bardzo miło, odezwał się gospodarz, w jak najkrótszym czasie — powitać szanownego pana u siebie... z dobrą nowiną!

Co Kazimierz zastał w domu — nie zmar-twiło ale mocno rozgniewało go. W tem usposobieniu usiadłszy przy stoliku, pisał:

Czcigodny Panie!

„Nim mi interesa gospodarcze pozwolą korzystać z łaskawych zaproszeń czcigodnych państwa, pospieszam z doniesieniem, że życzenie panny Anieli — w pełni sprawdziło się. — Nic złego nie stało się. Przywieźli mi Bösendorfera, przed mym wyjazdem do stolicy zamówionego; przysłano mi go za zaliczką. Co z tym fantem robić, myślał poczciwy a ubogiego ducha Jakób? I sądził, że najlepiej będzie, gdy mnie telegrafem do powrotu zawezwie, a fortepian tymczasem w dworcu kolejowym na mnie zaczeka. — Ot, i wszystko! Niepokój, co mnie całą drogę męczył, zamienił się w gniew a w tej chwili cała ta sprawa bawi mnie. Gniewać się nie mam na kogo, chyba na samego siebie, że wyjeżdżając nie zostawiłem staremu słudze stosownego polecenia.

Za wypadek ten dziękuję tym razem poczciwemu losowi memu, że mi dopomógł

poznać współczujące serca czcigodnych państwa. Dziękując losowi ślę Wam najszanowniejsi Państwo najgorętsze z głębin serca mego płynące podziękowanie. Oby mi Bóg miłosierny dozwolił uczucia me państwu osobiście objawić“...

Z tego listu Władomilscy serdecznie uśmieli się. Czy wiadomość o jakim niedobrem zdarzeniu byłaby im, nieprzyjemną i jakie następstwa wydać by mogła: o tem niepodobna sądzić, przypuszczać atoli można, że jak dobra wiadomość tych zacnych ludzi ucieszyła — tak zła wiadomość prawdopodobnie byłaby ich zmartwiła. Moznaby z tego pewne wnioski wyciągnąć — ale na razie: sza! Zaglądnijmy raczej do Kazimierza.

Oho! już z daleka słyhać jego głos: głos donośny, czysty, znakomity baryton — słuchacza porywający. Siedzi przy fortepianie — i śpiewa, a kilku młodych panów — wśród nich nasi znajomi: Mikołaj i Bogdan siedzą naprzeciwko i słuchają pieśni mało komu znanej.

## DO MOJEJ GWIAZDKI.

Wzeszłać mi była, gwiazdko nadobna!  
 Serce mi grzały — twoje promienie.  
 Przy blasku twoim — myśl ma żalobna —  
 Nikły i ducha mroczące cienie...  
 Bóg mi litośny, zesłał był ciebie:  
 Cześć mu na ziemi! Chwała mu w niebie!

Jutrzenko moja, gwiazdko promienna!  
 Stroiłaś strzechę moją świętecznie:  
 A z pod tej strzechy modła codzienna —  
 W sercu wygrzana — rzewnie, serdecznie  
 Płynęła w góry: do siół wieczności  
 Z hymnem pochwalnym, z hołdem wdzięczności!..

Póki świeciłaś — płynęło życie  
 Niepostrzeżenie; okrywał je maj!  
 Żyłem szczęśliwy życiem w rozkwicie: —  
 Kochałem ciebie — kochałem mój raj!  
 Stwórcza nasz dobry chwilę mnie darzył  
 Szczęściem... o jakim nigdy nie marzył!

Dziś losom moim niedola zagraża:  
 Już ciebie gwiazdko chmury pokryły;  
 Już grom uderzył z ręki mocarza,  
 Co światem rządzi. — Rosną mogiły!..  
 I czarne znowu dźwigam całuny!..  
 Boże mój, Boże! wstrzymaj pioruny!



I znów zawistne władają mocy!  
 Nad moją strzechą kotłują chmury,  
 A pod nią czarne panują nocy —  
 I znowu wlokę żywot ponury!...  
 Ach, moja jasna! moja wspaniała!  
 Czemuś mi zgasła gwiazdeczko mała?...

Wróciłaś piękna do źródła swego...  
 I ja za tobą wkrótce podążę: —  
 Tam... u stóp tronu Stwórcy naszego  
 Duch mój zboleły z tobą się zwiąże:  
 Pływać będziemy w światów topieli;  
 Wieczność wieczności nas nierozdzieli!

Bujać będziemy w jasnej przestrzeni,  
 Z góry nad naszą czuwać krainą;  
 Na wrogów strącim taką moc cieni,  
 Że na manowcach wszyscy wyginą!  
 Koronę polską oswobodzimy: —  
 Losy jej w ręce Boga złożymy!

Nim mej wydzwoni śmierci godzina,  
 Kąp się w światłościach, nabieraj mocy;  
 A gdy cię dojdzie — dobra nowina: —  
 Szlak mi oświecaj wśród ciemnej nocy!...  
 Tymczasem z duszy mojej więzienia,  
 Ślę ci serdeczne: — do zobaczenia! —

Gdy skończył, grzmiące ozwały się okla-  
 ski. — Dalej, dalej! wołano. Niech Boguś

dekluuje. Boguś! naprzód! — Bogdan wstał  
 i zadeklamował wiersz:

### GENIUSZ PRACUJE...

Geniusz bóg ludzki, ziemi, poczyna swobodnie;  
 Gdzie noc ciemna panuje — zapala pochodnie;  
 Z oczu zdiera ślepotę, wzrok uzdrawia chory,  
 Usuwa lub druzgocze najtwardsze zapory,  
 Ludzką nędzę łagodzi, ciężkie leczy rany;  
 Uczy — jak kochać wolność, jak kruszyć kajdany!...

On wyrównał kotliny, poprzężywał góry,  
 Siły wyzyskał — prawa przekształcił natury.  
 Z ziemi kruszec wydobył — wykuł żelaznicę,  
 Żelaznemi obręczy opasał ziemice,  
 Pozamykał demonów w parowe potwory: —  
 I pchnął świat zniewieściały — żelaznymi tory.

Prąd zdobył elektryczny, puścił iskrę śmiałą,  
 A ta obiegła ziemię w małej chwili całą:  
 Rozjaśniając kolejno twarde, ciemne głowy.  
 I już się duch łagodzi... rozbijać okowy!...  
 Po zapasach zaciętych z tyranów przemocą: —  
 Wschód połączył z zachodem, południe z północą!

Geniusz odległych zbliża, łączy państw granice,  
 Mil setkami od siebie oddalone ludy:  
 Różnych imion, różnych wiar łączy swe prawice,  
 Zadzierżgają sojusze, dzielą życia trudy!...

W ciemnych głowach już świta, i już duch zdrowieje:  
Światło i siły niosą — żelazne koleje! —

Jak huragan po stepie — po szynach szaleje,  
Świszcze, sapie i dudni — „Świt“ lokomotywa;  
Czarnym — pociąg lecący — obłokiem okrywa;  
Za nim już Zachód, przed nim już Północ szarzeje!  
Geniusz ludzki urąga ciemnościom Północy...  
Ni bezprawie go straszy, ni siła przemocy!

Każdy pociąg na Północ co bieży z Zachodu  
Promyk jeden zanosi — zostawia tam światła;  
Nie wstrzymują go mroki, ani góry lodu;  
Nie powstrzyma go przemoc, co ludem zawładła!  
Iskierka do iskierki, promyk do promyka:  
Już serce rozpłomienia, już ducha przenika!

Samodzierżawie straszne — struchlało i zbladło...  
Przedłużyć żywot pragnie! By się nie zapadło  
W przepaściach odmęty — w bezednie nicości —  
Barbarzyńcom właściwej chwytą się srogości: —  
Bije, więzi, morduje kwiat naszej młodzieży —  
Światła, prawdy, miłości, wolności szermierz!

Iskra ziemię obiegła głosząc światu zbrodnie  
Czynownictwa ruskiego... Oburzenie, grozę  
Czułą wstrzęsły Europę. Tam gaszą pochodnie,  
Tam noc panuje czarna, lud dławi obroże.  
Europa zapłakała i głośno krzyknęła...  
A że głośno krzyknęła: — wstydem zapłonęła!

Lud tam pary ni iskry nie żąda pochodu:  
One światło przynoszą i ducha z Zachodu.  
Dzicz w ciemnościach chowana — od światła ucieka.  
Światło to moc szatana... nie siła człowieka.  
Poco, naco im światło? Kagańców dość mają,  
By nie zasilnie tłały — „wodki“ dolewają.

Chcą tak mieć ojcowie i sam Synod święty!  
Dlatego też i Tołstoj został tam wyklęty!  
Światła mu się zachciało — i rozwinął skrzydła:  
By ściągać z góry na dół — zwodnicze mamidła,  
Tak w świątyniach tam głoszą prawosławni popi:  
Z gębą patrzą otwartą i słuchają chlōpi. —

Geniusz ziemi, duch Boży, nie ginie — on żyje;  
On nieustannie parą i iskrą pracuje...  
A gdy buchną płomienie... łotrów on pobije,  
Nowe ludom, świetlane świątynie zbuduje:  
Nie z kajdan, ni z szubienic, ni z człowieczych  
[kości —  
A jak Chrystus Pan nauczał... z najczystszej  
[miłości! —

Gdy skończył brawa ucichnąć nie chciały.  
Proszę was, odezwał się Bogdan, nieo-  
klaskujcie tak bardzo. Wbijecie mnie w zaro-  
zumiałość tak, iż sądzić będę iż dałem wam  
istotnie coś nadzwyczajnego; gdy wiersz na  
prawdę jest wielką miernotą. Chcieliście bym

deklamował: więc dałem wam, czem chata bogata. Wybrałem ze skarbcza mego co najlepsze, by przyczynić się do uświetnienia dnia Śgo Kazimierza.

Kazimierz w podzięcie uściśnął mu serdecznie dłoń. Gdybym was, mówił nie odzukał był, dzień dzisiejszy byłby mi minął, jak każdy inny. I rozrzewniony ucałował po kolei wszystkich swych gości.

Grano, śpiewano, deklamowano, wesoło bawiono się przez noc całą; a gdy słońce pierwszymi promieniami widrokrag ozłociło: podano śniadanie — a po śniadaniu — po pocałunkach pożegnalnych i przy śpiewie pieśni Legionów — goście odjechali.

I znowu głucha cisza zaległa dworek. — Kazimierz usiadł i długą chwilę dumał. Wstawszy, zaczął się przechadzać po saloniku, rozmawiając sam ze sobą:

— Głupie to życie moje! Ci, co tu byli: wszyscy, wszyscy odjechali rozweseleni; cały czas upływał im tu nader przyjemnie; żaden z nich nie zna smutku. Każdy z nich ma kogoś, kogo kocha: ten rodziców, ów siostrę, brata albo jasnowłosą dziewczynę...

A ja! Sierota o złamanem sercu... Pokochałem istotę, tyle widziałem w niej anielstwa — i gwałtowna miłość zapłonęła w mem sercu!...

— A ona? dziś innego żona... Ona mu życie osładza — a on, hulaka, trwoniąc jej grosz — życie jej zatruwa...

— A me serce płacze... za kim? po kim? O! głupie, głupie to życie moje!...

Zadumał się... Duma i duma. A gdyby go kto był zeszedł: spostrzegł by był perlące się łzy po wewnętrznym bólem pobladłych i kurczowo skrzywionych policzkach.

Po długiej chwili podniósł głowę — otarł łzy. Wstał, przeszedł się po pokoju; przystanął przed oknem, a patrząc w zamgloną dal... krzyknął: Aniela! Przestraszył się swego głosu — i jakoby obawiał się, by kto niepodśłuchał — nie podpatrzył: cofnął się na środek pokoju — chwilę podumał, poczem począł wolno przechadzać się: urywane wyrzucając słowa: zapóźno! zapóźno! ona dziewczę młode — lat 18. — A ja — stary kawaler — lat 34 — różnica —

lat 16 — zapóźno, zapóźno! Ona by mi w oczy parsknęła...

Urwał — i prędeż zaczął chodzić... Po dłuższym milczeniu — monologował dalej w przyśpieszonym tempie:

— Cóż z tego? Starsi odemnie żenią się z młodszymi jeszcze dziewczętami. — Prawda! ale przypatrzmy się tym śpleśniałym już małżonkom. Nie jeden z nich dźwiga na głowie symbol swej wartości: — jelenie rogi!

— Przypuśćmy, że Władomilscy przyje-liby mnie, a ona w krótkim czasie mnie także ukoronowała... Palnąłbym sobie w głupi łeb! a ona możeby się zaśmiała na widok mego trupa... i w krótkim czasie pocieszy-laby się... Umiłkł.

Po chwili zaczął marmotać:

— Jestem niegodziwy! Posądzam tak boleśnie córkę najzacniejszych rodziców — prawych obywateli — skromnie po polsku wychowaną. O ile ją poznać mogłem, jest łagodnego temperamentu, a tylko mimochodem wspomnę — bardzo ładna! Jak naj-grzeczniej, życzliwie ze mną żegnała się.

Miałem zjechać do nich — zamierzałem oświadczyć się o jej rękę... A dziś znowu waham się; lękam się formalnie tej chwili, gdy ją obaczę i w jej oczach wyrok jej serca... odmowny wyczytam...

Czyż moja pierwsza niedobra przygoda miałyby się tu powtórzyć! Wszak i ona w takim samym położeniu — co więcej: ona prawie — rozwódka! — Miałożby być takie moje przeznaczenie!...

— Zapięty tam byłem niemal po samą szyję — a niepotrzebnie. Wspomnienia o Re-ginie niemogłem wyrwać z mej duszy: jak cień wlekło się za mną!...

— Smutny jestem! czemu? czemu? Sta-  
rokawalerstwo? czy kosz od ukochanej istoty?  
Zdradzony! — smutno smutno, mi...

Usiadł przy fortepianie — i do północy fantazował.

Po niespokojnej nocy — rano dosiadł konia i pogalopował do robotników w polu. Ludziska pracowali bez zarzutu. Odezwał się dzwonek z wieżyczki na kościele, zwo-  
łujący nabożnych na jutrznię. Kazimierz po-  
żegnawszy robotników pospieszył do ko-

ścioła. W gorącej modlitwie polecił miłosiernej opiece Boga dalsze losy swe — błagał o uspokojenie zaniepokojonej duszy swej.

Pokrzepiony modlitwą wrócił do domu.

Po obiedzie zdrzemnął się. Drzemka niedługo trwała. Ocknąwszy się i przetarłszy oczy —

— Dziwny miałem sen szeptał. Duchy rodziców mych odwiedzili mnie. Ojciec wyrzucał mi, że jestem mazgajowaty, bez iskiarki energii i stałości w spełnianiu zamiarów. A matuchna przypomniła mi — przestrogi, rady co do dalszego życia często mi udzielane. „Samemu źle żyć na świecie. — Póki, mówiła, wiek ci jeszcze bark niepochylił a czoła zmarszczkami nie porwał: życie ci upływa choć nie wesoło — od biedy spokojnie. Ale gdy czas nie ubłagany swoje „memento“ na czole ci wypali: — los samotnika bardzo biedny. Szukaj przyjaciela — w kontuszu albo też — w spodnicy. Kontuszowiec pomoże ci w sprawach majątkowych, i póki zdrowie ci służy czas ci przyjaźnie skracać i uprzyjemniać

będzie... o ile jego własne interesa na to zezwalać będą. Ale duszę twą tylko kochająca kobieta rozweselać; a do ziemskiej szczęśliwości tęskniące serce twe tylko kobieta... uczciwa, prawa zaspokoić potrafi. — Człowiek bez kochającej go towarzyszkii życia jest tak nieszczęśliwy: jak człowiek, który stracił — wszelką nadzieję“.

Po tych przestrobach rozwiało się widzenie! Prawda! niestety, absolutna prawda! Czy w tem moja wina, że natura mnie tak głupim temperamentem obdarzyła.

Atoli raz trzeba mi się zdecydować, jeżeli mi nie rozpocząć — to zakończyć „kampanię“.

— Przypadek pozwolił mi poznać zacnych Władomilskich. — Panna Aniela podobą mi się bardzo. Niestety! nieudało mi się poznać choć jedną najdrobniejszą oznakę, że niejestem jej obojętny. Wszyscy troje są uprzejmi; obchodzą się ze mną, jak z każdym innym, starym znajomym. Mimo to w całym zachowaniu się ich strzegam pewną granicę, jaką przekroczyć mi niewolno; jednym słówkiem nie dali mi

poznać, że zabiegi moje około Anieli nie są im niemiłe. Taką oznaką byłaby n. n. pamięć na dzień mego patrona, a dla mnie równocześnie zachętą do przyśpieszenia mych odwiedzin i wogóle do śmielszego wystąpienia.

— Niestety! nieszczęśliwy temperament mój wszędzie mi przeszkadza. On mi podpowiada, że wyraźniejsze zachowanie się ich mogłoby oznaczać, że sidełka na mnie zarzucają.

— Co też ja ze zranionego serca mego niewywlekam: Tak zacni ludzie podstępnie działaćby nie mogli.

— Zbliżyć się do nich muszę. Zbliżyć się! łatwo to wypowiedzieć: ale zamiar spełnić, rzecz dla mnie nie łatwa...

— Ostatnie słowa me, przy pożegnaniu wprost do Anieli zwrócone i trudnym listu mego do pana Ojca dosyć otwarte, niezawodnie dały im dużo do myślenia: a wynik i pytanie: czy mógłby być dla mnie miły!... — Co za niedorzeczne myśli — one nerwy mi rozstrajają, humor mi psują. Zostawmy to przypadkowi. „Dobra żona, mówi

przysłowie, od Boga przeznaczona“. — „Co się odwlecze — to nieuciecze“. Jeżeli ona mi przeznaczona: — otrzymam ją a jeżeli sądzono mi zostać kawalerem: to z takim przeznaczeniem nie mógłbym walczyć. Tymczasem pracujemy dalej, jak przedtem było — spokojnie i skutecznie, — wizytę odłożymy na później...

I pracował według zwyczaju chętnie i skutecznie. Ale spokój odleciał go. W chwilach wolnych od pracy myśli wracały do przedmiotu, który serce jego co dzień więcej i głębiej opanowywał. Myślom tym nieumiał się opędzić, — w przystankach pracy wracały tłumnie i opanowywały wszystkie uczucia jego. Taki stan nazywał i — drugą młodością.

Gniewał się na siebie, że wola jego niesilna bardziej jeszcze malała, że natrętom w żaden sposób opędzać się nie zdołał. Doświadczenie go uczyło, że pierwsza miłość czysta, nieskalana nowe a czarów i rozkoszy pełne światy kochającemu otwiera. To też rozłączyć się z tymi światami było mu trudno.

W podobnem stanie muszą żyć i cierpieć serce i dusza Anieli. — Ona kochała swego narzeczonego także pierwszą miłością i po dziś dzień zapomnieć go niemoże: o czem wyraz jej twarzy i oczu domyślać się każe.

„Kobieta, powiadają, puch marny“. A Kraszewski wita ją:

*Witam cię w tym zakątku spokojnym, ustronym  
Zono, córko i matko, co niewidząc świata,  
Przy jednym przyjacielu, jednym i dozgonnym  
Przykute, niestyszycie, jak życie ulata.*

.....  
*Wam ciche modły, mąż, rodzina, dziecię —  
Są szczęściem, choć bez świadków, szumu i połysku.  
Was wiosną kwiatki cieszą, słońce ranne wita,  
A twarze nasze, choć lata poryją,  
Serce nigdy nie przekwita  
Jego zmarszki nieodkryją.*

— Do takich kobiet zaliczam Anielę..

— Czego my od kobiet nieżądamy!  
A sami — co zacz jesteśmy? Panami ziemi,  
głową rodziny: choć panować — nawet  
na drobnych skrawkach ziemi rozumnie

i miłośnie nieumiemy; a głów, któreby gniazdko swe sercem, duszą umysłem i całym sobą budować i otaczać chciały: tak mało — tak mało!

— I ja miałbym być takim panem — taką głową? Przenigdy! — A może być takim, w którym Kraszewski powiada: *Zimny to rozum... Im go mniej słuchają, tem ostrzej dojada, tem boleśniej kąsa, tem więcej szydzi*“.

Nie! nie! zostanę kawalerem. Gdybym stał się złym: to będę złym dla samego siebie, a niebędę nikogo kąsał. A przecie danego przyrzeczenia dotrzymać trzeba — pojechać sam muszę.

Biedny Kazimierz takie rozmowy z samym sobą często prowadził i zdawało mu się, że opanował zupełnie w sercu swem obudzone uczucia i raz na zawsze utracił buntujące go myśli. Nieprawda! — Myśl o Anieli stała mu się nałogiem — on walczył z nią jednakże mimo najlepszych chęci, pomimo zużywania najlepszych sił rozumu: nie zawsze wychodził z tej walki zwycię-

zcą. — I niemógł zwyciężać: bo nic się nie dzieje bez Woli Boga. - Z woli Boga przyjaźne uczucia pod adresem Anieli, w sercu jego obudziły i stały się posiewem dalszej jego doli — jego przyszłości...

Poczęły obiegać świat cywilizowany od strony Berlina poczarne pogłoski o antypolskich ustawach mających na celu wywłaszczenie Polaków z ziem po pradziadach i o zakazie używania języka ojczystego na publicznych zebraniach.

Wiadomość ta zaniepokoiła i do żywego oburzyła każdego prawego Polaka. Kaziemia tak głęboko dotknęła, że go wszelka myśl o Anieli odleciała. Skulony, skurczony siedział w swem karle, a wszystkie żyły narbrmiały i sinemi pręgami twarz i czoło mu zorały. Oczy błyszczały mu łzą i ogniem. Łza świadczyła o niezmierzonej boleści nad niedolą narodu; a w ogniu przebijała się pogarda dla niecných potomków „Raubritterów“. A pięść zaciśnięta o zamiarze odwetu świadczyła.

Godzinami siedział zamknięty w sobie: serce, dusza, umysł i wola pracowały w kuchni pod czaszką! Wysnuwał zamiary — kuł plany...

A gdy plany były gotowe — wstał i wolnym krokiem począł przechadzać się w pokoju. Wreszcie potarłszy poorane czoło i rzuciwszy przez okno błagalny wzrok ku przybytkom Bożym — usiadł przy stoliku i pisał:

Kochany, serdeczny Bogdanie!

„Jestem zrozpaczony i oszalały. Powód tego stanu władz onych duchowych: jak łatwo domyślić się możesz — podłe ustawy rozbestwionej „Hakaty“ mające na celu wydziedziczenie części narodu polskiego z odwiecznych sadyb i wypędzenia wszystkich, co polskie imię nosi poza słupy graniczne: pozostającym zaś w kraju kagańce na usta nałożyć, by polskie słowo nieobrażało uszu zwyrodniałych Krzyżaków.

W tak poważnych czasach siedzieć nam z założonemi rękoma beczynn timer czekać zmiłowania Bożego niewolno. — Musimy



na wszystkie cztery strony świata przeciwko tym zjadliwym ustawom gromko protestować; a równocześnie musimy działać, by ta Krzyżakom właściwa zaraza falą dusząca i cuchnąca poza słupy graniczne Prus nie przedzierała się.

Na razie proponuję organizację „Związku Szaraczków“ zjednoczonego z towarzyszy i towarzyszek podług wspólnego programu nad dobrem naszym pracujących.

Każdy prawy Polak, przystępując do Związku — dobiera sobie równie myślącego i do wspólnej pracy chętnego towarzysza i pracują obaj według wskazówek programu bez rozgłosu. I tak dalej i dalej wzdłuż i wszerz — aż do chwili, w której jeśli nie cały naród, to co najmniej większa część jego do Związku przyłączy się i pod jego sztandarem do walki na śmierć lub życie gotować się będzie.

W odpowiedzi na list Kazimierza zganili go Bogdan, by sam zjechał do Lwowa i na zgromadzeniu ad hoc zwołać się mającem, program swój co do utworzenia Związku „Szaraczków“ dokładnie rozwinął...

Kazimierz nie zwlekał z wyjazdem. Na trzeci dzień już był w Górowie. — Zaraz też pośpieszył do Bogdana. — Tu ułożyli i rozesłali zaproszenia na zgromadzenie odbyć się mające do wszystkich znanych z prawości Polaków.

Jakże zdziwił się Kazimierz, gdy przybywszy na zgromadzeniu, zastał wśród zebranych także pana Władomilskiego, któremu zaproszenia wcale nie wysłano: sądząc, że do obozu ugodowców należy.

Władomilski tak serdecznie Kazimierza witał, że mu w duszy zagrała myśl, iż o rękę panny Anieli śmiało dobijać się może. Myśl ta rozegrzała go i dodała mu odwagi do gorącego wystąpienia w sprawie „Związku Szaraczków“.

Obowiązkiem najpierwszym i najważniejszym każdego „Szaraczka“ jest pracą około oświecenia ciemnego ludu. — Bez oświaty ludu, mówił, niema wolności — niema narodu. Drugim nie mniej ważnym obowiązkiem każdego z nas — podniesienie — niestety, dziś bardzo zachwianej wiary w jedynego Boga i w naukę Chrystusa. Ta wiara

łączy nas wszystkich i jednoczy w szczerym braterstwie i w miłości jednego dla wszystkich a wszystkich dla każdej jednostki. Bez takiego zjednoczenia serc naszych niema narodu, niema... — ducha narodowego i niepokonamy luźnych wrogów naszych!

W tym duchu przemawiał blisko dwie godziny wśród niezwyklej ciszy. Zgromadzeni patrzali weń, jak w tęczę: nie jednemu oczy łzami błysły a nikt ciszy nie przerywał. — Dopiero gdy skończył, frenetyczne odezwały się oklaski — otoczono go kołem — ściskano — całowano i proszono by objął przewodnictwo Związku.

Tego zaszczytu przyjąć nie mógł ze względu na znaczną odległość swego Ogniska i na pracę jakiej gospodarstwo wymagało. Przyjął jednakże wszelkie roboty piśmienne Związku na siebie! Na przewodniczącego zaś zaproponował pana Władomilskiego.

Wybór ten przyjęto przez aklamację, jego zaś mianowano przewodniczącym Związku honorowym.

Przystąpiono zaraz do wyboru Komi-

tetu, któremu powierzono dalsze kierownictwo sprawy.

Po tym akcie zgromadzeni rozeszli się. Władomilski wzięwszy Kazimierza pod ramię: Niepuszczę cię, mówił, musisz mi towarzyszyć do moich kobiet, które cię bardzo życzliwie przyjmą.

Niespodziewanie znalazł się Kazimierz w domu, co go omijać zamierzał... Przeznaczenie!

W salonie przy stoliku robotką zajęta — siedziała Aniela — pani domu nie było.

Aniela powitała gościa bardzo życzliwie, po staropolsku.

Mamusia, tłumaczyła nieobecność matki, wybiegła na chwilę do chorej sąsiadki — niebawem ale wróci i mocno się ucieszy obaczywszy tak miłego gościa.

Kazimierz ściskając i całując podaną mu rękę Anieli, zapomniał o wszystkich innych zamiarach i tak był oszołomiony, iż prócz Anieli nikogo niewidział — i niesłyszał nawet, jak pani Władomilska wbiegła i obok niego stanęła.

Pałrzała rozrzewniona na zapłonioną córkę i na półnieprzytomnego gościa.

Matka chcąc przerwać scenę Milczka, w jakiej młodzi zatopili się — położywszy rękę na ramieniu Kazimierza, zapytała go: „Jak długo zamyśla w mieście zabawić i czy mu „Szaraczki“ duszę zabrały?“

Kazimierz oprzytomniawszy ze wzruszenia — zawstydzony ucałował rękę Anieli, zwrócił się z potężnym rumieńcem na twarzy do mówiącej i ucałował jej obie ręce, przeproszał za taką nieuwagę; ale dodał: — proszę mnie nie potępiać, że stanąwszy oko w oko z panną Anielą, otworzyło mi się niebo, w którym ona królowała...

To „dictum“ ojciec oklaskiem powitał; równocześnie zapytał Kazimierza: jak oni tak gorące oświadczenie zrozumieć mają?

— Jeżeli już tak daleko zaszło, odparł, przynaglony jestem zapytać się łaskawych państwa i pannę Anielę, czy mógłbym losy swe dalsze z losami panny Anieli podzielać?

Na chwilę głucha zapanowała cisza:

słyszeć się dawały tylko silne dwóch serc uderzenia.

Pan Władomilski przerwał tę ciszę — odezawszy się do córki:

Anielciu, dziecino ukochana! powiedz nam otwarcie: czy podzielasz uczucia pana Kazimierza i czy chciałabyś dalsze twe życie z nim połączyć? Jeśli twe serce za nim przemawia: my, rodzice twoi — błogosławieństwa naszego wam nie odmówimy...

Aniela milczała: ale łzy po policzkach spływające, świadczyły o stanie serca jej...

Matka obaczywszy te łzy — przystąpiła do płaczącej a zarzuciwszy ręce swe na szyję jej — połączyły się matka z córką — obecnie najszczersze przyjaciółki, w gorącym uścisku.

— Zostawcie i mnie nieco z tych pieśzcot — miękkim głosem odezwał się ojciec.

Aniela rzuciła się teraz w objęcia ojca. A obcałował mu twarz i ręce usunęła się przed nim na kolana; a podniósłszy oczy ku niemu — szeptała:

— Tateczku mój drogi, ukochany: Może to moje przeznaczenie — wola Boga, z którą

walczyć nie mogę. Niech się woła Boga święci!...

I ja tak sądzę — to twoje przeznaczenie! Idź za głosem twego serca — a ten głos — to woła Najwyższego!

Teraz przybliżył się uradowany Kazimierz i ukląkł obok swej Bogdanki; a rodzice ze łzami w oczach błogosławili dzieciom swym.

Spełniło się przeznaczenie — i przybyło światu dwoje szczęśliwych ludzi!

Na zakończenie tej powiastki zawiadamiam szanownych czytelników, że „Związek Szaraczków“, który dodatnią, obfite i najpiękniejsze owoce obiecującą pracą — uwagę naszych wewnętrznych wrogów na siebie zwrócił — władza idąc za przykładem Prusaków i Moskali, rozwiązała.

Czy i to z woli Boga stało się? czy i to nasze przeznaczenie?

O nie! o nie! Nasza obojętność, nasze lenistwo, brak dobrej woli, zanik zupełny energii i odwagi, brak jedności, brak ducha, któryby wszystkie lepsze warstwy narodu w jedno silne — niezwyciężone złączył ko-

lisko — zapewniły wrogom zwycięstwo. — A przeznaczeniem naszym jest: polepszyć się — w Boga wierzyć, Jego miłować a zlawszy się w jeden silny organizm, duchem narodowym owiany — Ojczyznę oswobodzić.

*Lwów w Kwietniu 1908.*

41197



## OMYŁKI DRUKU:

			zamiast:	ma być:
13 str.	10 w.	z góry	Bogą	Bożą
27 „	6 „	z dołu	nierucho	nieruchomo
30 „	3 „	z góry	jakiejmy	jakiej my
60 „	1—2 „	z „	gosporowała	gospodarowała
67 „	5 „	z „	zjawskiem	zjawiskiem
69 „	7 „	z dołu	mającego	mającego
70 „	11 „	z góry	niedziwią	nie dziwią
75 „	11 „	z dołu	przyrowadzenia	przeprowa-
78 „	6 „	z góry	zejęte	zajęte [dzenia
106 „	2 „	z „	n. n.	n p.
114 „	3 „	z dołu	przewodniczącym	przewodni-
116 „	1 „	z góry	Pałszała	Patrzała [czącym